Rok IV. Kwiecień, Maj 1919. Nr. 4 i 5.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POSWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

TREŚĆ:

CENA NUMERU PODWÓJNEGO 5 KORON (3 MARKI).
PRENUMERATA ROCZNA 30 KORON (18 MAREK).

Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4, gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych i administracyjnych.

Kwiecień Maj 1919 ROK POLSKI Rok IV. Nr. 4. i 5.

Motywy polityki angielskiej w sprawie polskiej.

Dlaczego polityka angielska zajęła na konferencyi pokojowej stanowisko, mniej dla naszych interesów przychylne, aniżeli polityka innych aliantów? Jakkolwiek bardzo wiele rzeczy dzieje się w tajemnicy, to niemniej mężowie stanu usprawiedliwiają na zewnątrz swój punkt wyjścia i zrobili to także politycy angielscy; to też najpierw przypatrzmy się ich argumentacyi. Już przed paru miesiącami Lloyd George wskazywał na ogromne trudności istniejące co do uregulowania wschodniej granicy niemieckiej i podkreślił konieczność unikania takich rozstrzygnięć, któreby stworzyły nową Alzacyę-Lotaryngię i były zarodkiem nowych wojen. Wyraźniej to stanowisko określił inny członek gabinetu wojennego, Earl Curzon of Kedleston. W odpowiedzi na interpelacyę, wniesioną w Izbie Lordów w sprawie polskiej, zaznaczył: „Polska jest głównym przedmiotem polityki państw sprzymierzonych, a to Polska, która powinna, jak dalece to tylko możliwe, zawierać naprawdę polskie terytorya. Musi być naszym celem, by stworzyć silną, zwartą i trwałą Polskę, bez włączania do jej terytoryów znacznych mniejszości narodowych, któreby były w przyszłości źródłem słabości i rozkładu“... Radził dalej Lord Curzon Polsce, by „utrzymała swoje roszczenia w granicach umiarkowanych i nie próbowała wchłonąć sąsiednich ludów, które nie mają z nią pokrewieństwa rasowego i które, jeżeli siłą będą włączone w jej granice, to kiedyś w przyszłości przerwą te granice i zagrożą jej własnemu istnieniu“.

Zasada, którą wysuwają ci mężowie stanu jest jasna — chodzi im o bezwzględne zastosowanie idei narodowości przy wykreślaniu

granic Polski. Ale tem wyjaśnieniem nie możemy się zadowolnić. Nasuwa się wątpliwość, czemu Wielka Brytania wszędzie tej zasady nie przestrzega, zarówno u siebie, jak i w polityce na europejskim kontynencie. Nie możemy przypuścić, by np. troska o przyszłość Czech i życzliwość dla nich była w Anglii mniejszą, aniżeli w stosunku do Polski — nie słyszeliśmy jednak równie silnych ostrzeżeń przed tem, by Czesi nie włączali do swego państwa znacznych mniejszości narodowych, niemieckich i polskich. Jeżeli wielki idealista z za morza, główny propagator zasady narodowości jest mniej bezwzględnym i rozumie, że niepodobna stworzyć państw zdolnych do życia, nie schodząc z gruntu czystej doktryny, to tembardziej możnaby tego oczekiwać po trzeźwych politykach angielskich, którzy sztukę kompromisów doprowadzili do doskonałości.

Musimy więc poszukać głębiej sięgających wyjaśnień. Sprawa polska, sama w sobie wzięta, nie interesowała nigdy zbytnio Anglii, wogóle szerszy ogół objawiał zawsze mało zrozumienia dla niej. Dla polityków angielskich jest ona jednym z fragmentów całej sprawy europejskiego kontynentu. Anglia patrzyła zawsze na nasz kontynent jako na odrębną część świata, interesując się jego sprawami tylko o tyle, o ile to dotyczyło jej interesów. Jeżelibyśmy koniecznie chcieli w polityce zewnętrznej Anglii XIX w. wyszukać jakąś jedną ideę przewodnią, to byłaby nią chyba zasada, że konieczną rzeczą jest utrzymanie równowagi na tym kontynencie, tak by nie było potęgi, która innym nad głowy wyrasta. W świetle tej tradycyi dyplomatycznej sprawa polska służyła Anglii albo za dywersyę, albo też w pewnych wypadkach poruszenie jej nie dogadzało, gdyż mogło naruszyć europejską równowagę.

Ale oceniając polityką angielską, musimy jeszcze o jednem pamiętać. Celem jej jest wzrost potęgi gospodarczej i handlowej imperyum. Już dość dawno powiedział jeden z angielskich mężów stanu: *British policy is british commerce*. Ideał ten Wielka Brytania realizowała na gruncie zasady wolnego handlu, której stała się gorącą szerzycielką w świecie. Ideał wolno-handlowy głosi solidarność ekonomiczną różnych narodów. Wymiana międzynarodowa, do której rozwoju ma doprowadzić wolny handel, wymaga pokoju światowego. Tylko wtedy może kwitnąć wolna wymiana. To też na tem tle wyrastają tendencye pacyfistyczne, które najpierw każą unikać za wszelką cenę wybuchu wojny, a gdy już wojna się kończy, pamiętać o tem, że wczorajszy wróg jest ju-

trzejszym klientem, a jest w interesie kupca, by klient nie był zbyt słaby. Bezwzględne stosowanie tej zasady może doprowadzić do wielkich niesprawiedliwości w stosunku do gnębionych narodów, którym każe się milczeć w interesie światowego pokoju. Objawem tego było np. w r. 1863 stanowisko żarliwego obrońcy wolnego handlu, Richarda Cobdena, który w gwałtowny sposób potępiał polskie powstanie, a oświadczał się za Rosyą, widząc w niej wielki rynek handlowy, zdolny do rozwoju w razie pokojowych stosunków.

Przedstawicielami tej liberalnej i wolno-handlowej polityki byli ludzie, którzy kierowali Anglią w chwili wybuchu wojny. Dzisiaj jest jasną sprawą, że, gdyby nie naruszenie neutralności Belgii, nie zdecydowaliby się oni tak rychło na wzięcie udziału w wojnie. Specyalnie Lloyd George był wojnie przeciwny, jeszcze 2 sierpnia 1914 r. zdecydowany był oświadczyć się za pokojem, a w razie przewagi przeciwnego zdania gotów był wnieść dymisyę. Ale z chwilą, gdy się zdecydował na rzecz wojny, zrozumiał, że wojna musi być stanowczo wygrana. Stał się najmocniejszym rzecznikiem idei bezwzględnego doprowadzenia wojny do pobicia Niemców i niewątpliwie był jednym z głównych organizatorów zwycięstwa, jednym z największych wodzów w tej wojnie w szerszem znaczeniu tego wyrazu. Niewątpliwie i Niemcy swoim sposobem prowadzenia wojny, ujawnieniem swych zdobywczych planów, umocnili i jego i całą Anglię w tem bezwzględnem stanowisku. Pacyfizm istniał, ale nie odgrywał decydującej roli. Na prawicy przedstawicielem jego stał się stary markiz Landsdowne z nieliczną garstką przyjaciół. Silniejszym był na lewicy. Idea porozumienia się z Niemcami była popularną w obozie socyalistycznym. Propagowały ją też różne radykalne pisma, jak „Manchester Guardian“, „Nation“, występując wyraźnie wrogo przeciw interesom polskim. Wybory, przeprowadzone w W. Brytanii po zaprzestaniu działań wojennych, przyniosły ogromne zwycięstwo koalicyi wojennej. Ale w trakcie rokowań pokojowych w Paryżu stała się rzecz dziwna. Główny przedstawiciel W. Brytanii zaczął objawiać tendencye do sformułowania łagodniejszych warunków dla Niemiec. Dotyczyło to także sprawy polskiej, ale nietylko sprawy polskiej. W kwestyi odszkodowań wojennych, w kwestyi zagłębia Sarry, w kwestyi granic wschodnich zajął stanowisko, różniące się wybitnie od stanowiska, reprezentowanego przez Francyę. Według doniesień prasy, Lloyd

George był skłonnym do ustępstw na rzecz socyalistycznego przywódcy J. Ramsaya Macdonalda, którego marynarze angielscy za pacyfizm chcieli wrzucić do wody. Na doradcę w sprawie Niemiec miał być wezwany Herbert Dawson po artykule, zamieszczonym z końcem marca w „Manchester Guardian“, w którym tenże wystąpił przeciw oddaniu Polsce Górnego Śląska, Prus Zachodnich, wyrażając się pogardliwie o Polsce, przyczem także wystąpił i przeciw Francyi. A tymczasem prasa, na której oparł się Lloyd George w ciągu wojny, zaczęła przeciw niemu występować.

Jakie są przyczyny tej zmiany?

Pokój w Paryżu robią nietyle dyplomaci zawodowi, którzy całe życie swoje poświęcili rozpatrywaniu kwestyi zewnętrznych, ile politycy, którzy wyrośli na gruncie życia parlamentarnego, a raczej wewnętrznego życia politycznego swych narodów, czerpiąc z niego swoją siłę i z niem się licząc przedewszystkiem. To też jeżeli chcemy wytłómaczyć sobie ewolucyę poglądów pierwszego ministra W. Brytanii, musimy wglądnąć w wewnętrzne stosunki angielskie.

Kwestya społeczna w Anglii przed paru tygodniami doszła do wielkiego zaostrzenia. Groził strejk o charakterze syndykalistycznym, wysuwający żądania trudne do przyjęcia. Strejk ten mógł sparaliżować życie wewnętrzne, stać się źródłem przewrotów. Załatwiono tę sprawę angielskim sposobem, kompromisem, ale bodaj, czy to jest ostateczne załatwienie. Niemcy, korzystając z powolności, z jaką konferencya pracuje, licząc na wielkie różnice zdań między sprzymierzeńcami, zaczęli przemawiać śmielszym tonem. W tych warunkach mogła się zjawić tendencya, by warunki pokoju uczynić bardziej strawne dla Niemców, byle tylko uniknąć nowej wojny, któraby fatalnie oddziałała na wewnętrzną sytuacyę angielską. Ale chyba ci, którzy mieli podobne plany, zdali sobie rychło sprawę z tego, że Niemców niepodobna zadowolnić bez wielkich, bezpośrednich ofiar, bez zmarnowania owoców zwycięstwa — że więc pokój musi być na tem zwycięstwie oparty.

W tym samym kierunku mógł też działać straszak bolszewizmu, główny argument, którym się Niemcy posługują. Ale zdaje się i temu momentowi niepodobna przypisać stanowczej wagi, bo chyba odpowiedzialni politycy zdają sobie z tego sprawę, że on za daleko zaprowadzi. Niewątpliwie i te rzeczy były brane w rachubę, ale niepodobna takim doraźnym czynnikom przypisać sta-

nowczego głosu tam, gdzie rozstrzygają się losy świata na długie łat dziesiątki. To mogą być czynniki drugorzędne — trzeba jednak poszukać warunków głębszych, na tle których dopiero mogły się zjawić takie doraźne argumenty. Tam gdzie chodzi o życiowe interesy imperyum brytyjskiego, tam przed odpowiedniem rozstrzygnięciem nie cofną się jego kierownicy ze względu na własną sytuacyę wewnętrzną i niemieckie pogróżki.

Znaleziono jeszcze jedno wytłómaczenie dla wyjaśnienia wahań w stanowisku przedstawiciela W. Brytanii. Członek Izby Gmin, Colonel Sowther, który zainicyował akcyę protestującą przeciw oszczędzaniu Niemiec co do wypłaty odszkodowań, w swojem piśmie wskazał na wpływ międzynarodowych, żydowskich finansistów, którzy mają interesy, wspólne z Niemcami. Nie można się skarżyć, by tych finansistów było mało w Paryżu — ale kwestya wpływu finansów przedstawia się inaczej, aniżeli to wynika z powyższego postawienia sprawy. Jeszcze w r. 1915 napisał w „Nineteenth Century“ wybitny statystyk angielski, Edgar Crammond, artykuł pod tytułem: „High Finance and a Premature Peace“, w którym wykazywał, że przedłużanie wojny nie jest w interesie wielkich finansów, ostrzegał przed niebezpieczeństwem, które grozi ze strony tych sfer ze względu na ich możliwą agitacyę w kierunku zawarcia szybkiego pokoju. Przez cały czas wojny finanse nie uzyskały stanowczego głosu, o jej prowadzeniu rozstrzygały wyższe interesy narodowe i polityczne. Ale obecnie, przy układaniu warunków pokoju, mogą i finansiści, zaangażowani w wielkich interesach międzynarodowych, działać w kierunku złagodzenia warunków pokojowych dla Niemiec. Istnieje niewątpliwie pewna solidarność finansowa wszystkich krajów, istnieje, choćby niezorganizowana, choćby samą siłą związków gospodarstwa światowego. Zupełne bankructwo Niemiec, ich niezdolność do czynniejszej roli gospodarczej może nie być w interesie świata finansowego, który, jak to zaznacza jego angielski apologeta, Hartley Withers, jest „wielkim wychowawcą i potężnym agitatorem pokoju i dobrej woli w stosunkach między narodami“ [1]). Jeżeli dzisiaj finansiści bronią Niemców przed zbytniemi odszkodowaniami, jeżeli z drugiej strony knuje się pewne plany eksploatowania Rosyi za cenę porozumienia z bolsze-

[1]) Hartley Withers, „International Finance“, London, 1918 s. 90.

wikami, to mamy w tem wszystkiem niewątpliwe objawy, że te czynniki działają w kierunku bardziej umiarkowanego pokoju.

By zdać sobie sprawę z tego, o ile taka agitacya może znaleźć podatny grunt w polityce angielskiej, trzeba uprzytomnić sobie istotę stosunku gospodarczego Anglii do Niemiec. Najpierw sprecyzujmy tę kwestyę, o ile Anglia naprawdę chce oszczędzić Niemcy. Zobaczymy zaraz, że jeżeli jest mowa o oszczędzaniu, to owa życzliwość nie zwraca się równomiernie we wszelkich kierunkach. Nie było o tem mowy, gdy przeprowadzano zasadę, że Niemcy nie otrzymają z powrotem żadnej ze swych kolonii, utrzymywanych wielkim trudem i kosztem. Podobnie też nie sprzeciwiła się Anglia planowi, by zabrać Niemcom wszystkie kable podmorskie, którymi Niemcy zaczęli konkurować z Anglią. Już w ciągu wojny wyparto Niemców z wielu targów zagranicznych i dziś Anglia nie kwestyonuje zasady, że wszelkie lokaty niemieckiego kapitału zagranicznego mają pójść na poczet odszkodowań, co podcina podstawy przyszłej ekspansyi Niemiec. Wreszcie prócz floty wojennej mają Niemcy wydać całą niemal morską flotę handlową, w każdym razie wszystkie statki, zdolne do odbywania podróży po oceanie. Po tych wszystkich operacyach mógł przyjść moment refleksyi, że przecież coś trzeba Niemcom zostawić. Niemcy dzisiaj są bezsilne jako konkurent w światowym handlu morskim. Na długi czas są skrępowane brakiem niezbędnych tego handlu warunków, zniszczony jest rezultat kilkudziesięcioletniej, wytrwałej pracy, z którego Niemcy najbardziej byli dumni.

Otóż właśnie ta ekspansya morska Niemiec była główną kością niezgody z Anglią. Można powiedzieć, że zaostrzanie się stosunków z Niemcami szło w parze z postępami, które Niemcy robili na morzu. Dewiza cesarza Wilhelma II: *Unsere Zukunft liegt auf dem Wasser* nie harmonizowała z angielską: *Britannia rules the waves.* Stosunki doszły do stanu wielkiego napięcia, gdy począwszy od ostatniego dziesiątka XIX stulecia angielscy konsulowie słali rozpaczliwe sprawozdania o wypieraniu towarów angielskich z rynków światowych przez niemiecki import, gdy rozwinęła się potężna Hamburg-Amerika-Linie, gdy jej statki zaczęły skutecznie współzawodniczyć co do szybkości, rozmiarów, komfortu z Cunard i White Star Line. Dzisiaj, gdy groźny współzawodnik, Ballin, zakończył swój żywot samobójstwem, gdy wielka flota handlowa niemiecka przestaje istnieć, odpada główne ostrze tego zatargu. To też dzi-

siaj można łagodniej patrzeć na Niemcy, można nawet pragnąć ich podniesienia się z dzisiejszego upadku, bo Niemcy przedstawiają się raczej jako przyszli klienci, a zresztą uspokojenie się Niemiec jest korzystne z ogólnego punktu widzenia.

Jednak argumenty tej natury nie powinny mieć stanowczej wagi, gdyż nie podobna zapominać o politycznej stronie tej kwestyi. Czy Niemcy wyrzekną się swoich zdobywczych planów na przyszłość, czy zaniechają idei odwetu, godząc się z losem, który im zgotowała wojna? Człowiek, który zna Niemcy, bez wahania da negatywną odpowiedź i gwarancyi przeciwko zaburzeniu przyszłego pokoju przez Niemcy szukał będzie przedewszystkiem w odpowiedniem wykreśleniu granic i wojskowych zabezpieczeniach. Ale inaczej są skłonni patrzeć na to ludzie, którzy Niemców nie znają dość dobrze, a przepojeni są liberalnym poglądem na stosunki międzynarodowe. Dla nich najbardziej charakterystycznem jest odrożnienie między rządem a narodem, między dawną militarną kastą, pruskim militaryzmem a pracującym ludem niemieckim. Gotowi są oni przedstawiać Niemców niemal jako niewinne baranki, które na rzeź poprowadzili autokratyczni przywódcy. Gotowi są widzieć źródło niemieckiego imperyalizmu wyłącznie tylko w żywiołach junkiersko-przemysłowych, a w zmianie ustroju Niemiec gwarancyę przeciw ponowieniu się podobnych zamysłów. Nie zdają sobie sprawy z tego, że imperyalizm i demokracya są to dwie rzeczy, które się nie wykluczają wzajemnie, czego przykładem są choćby Stany Zjednoczone; patrząc raczej w bliższą, niż dalszą przyszłość, z optymizmem oceniają przyszłe zamysły niemieckie.

Mamy tu więc cały szereg czynników, który mógł wpłynąć na złagodnienie stanowiska Anglii w stosunku do Niemiec: nacisk żywiołów pacyfistycznych, zwłaszcza z pośród sfer radykalnych, chęć szybkiego zlikwidowania wojny, obawa przed bolszewizmem, możliwy wpływ międzynarodowych finansów, a przedewszystkiem przekonanie, że Niemcy zamknięte na kontynencie europejskim nie są już groźnym konkurentem, a przez zmianę ustroju są już pozbawione niebezpiecznych zapędów zdobywczych. Byłaby to rzecz ryzykowna, gdyby się chciało określić dokładnie rolę każdego z tych czynników; ale w każdym razie wszystkie one, wzięte w całości, stworzyły atmosferę, w której uszy niektórych angielskich mężów stanu stały się mniej niedostępne dla podszeptów, także i dla nas niebezpiecznych.

Zabiegi te nie mogły pozostać w ukryciu. Na szczęście jeden punkt programu oszczędzania Niemiec był tego rodzaju, że musiał wywołać żywą reakcyę w samej Anglii. Lloyd George parokrotnie oświadczał, że Niemcy muszą zapłacić za wszystkie straty, które wyrządzili sprzymierzeńcom. To też myśl, by ograniczyć sumę odszkodowań, które się nałoży na Niemcy, musiała dotknąć żywo tych posłów, którzy za przykładem swego pierwszego ministra zaciągnęli analogiczne zobowiązania wobec swoich wyborców. Rozpoczął się żywiołowy ruch, protestujący przeciw temu stanowisku. W tych protestach wzięła udział większość członków Izby gmin. Do Paryża przychodził telegram za telegramem, molestujący premiera, by pamiętał o danych przyrzeczeniach. Lloyd George zagroził odwołaniem się do kraju, to znaczy rozpisaniem nowych wyborów, ale wyniki wyborów uzupełniających, w których przepadli kandydaci rządowi, odebrały skuteczność tej groźbie. Z drugiej strony to stanowisko, mocno drażniące Francyę, nie mogło być przychylnie przyjęte przez większość opinii publicznej, która bądź co bądź opowiada się mocno za kontynuowaniem przymierza. Także i sprawa polska znalazła swoich gorliwych obrońców w angielskiej prasie, zwłaszcza dziennikach Northcliffe'a, którymi kieruje taka powaga w kwestyach narodowości środkowo-europejskich, jak Wilhelm Steed. Wszystko to musiało rozbudzić u angielskich polityków dążności bardziej kompromisowe. Nikt nie mógł powiedzieć, że stanowisko, zajęte przez Manchester Guardian'a, który wyspecyalizował się w obronie niemal nienormalności wschodniej granicy niemieckiej, reprezentuje wiernie całą opinię publiczną w Anglii. W rezultacie sprawy załatwiono tak, jak mniej więcej powinny być załatwione, i Lloyd George po przyjeździe do Anglii mógł oświadczyć dziennikarzom, że jest zadowolony z wyników obrad konferencyi „czterech" i że także George Clémenceau jest zadowolony. Prawdopodobnie i my będziemy zadowoleni.

Przyjaciel i apologeta Lloyda Georgea, Harold Shender, podkreśla jako charakterystyczny rys jego charakteru, że jeżeli on przejmie się jakąś ideą, to z zawziętością dąży do jej zrealizowania i nie spocznie, póki nie dopnie swego. Z drugiej strony jednak zaznacza, że w polityce godzi się nieraz na kompromis, „daje się często, wbrew sobie przekonać". Stanowisko jego w kwestyi polskiej, miejmy nadzieję, należy do tej drugiej grupy; tembardziej, że jak to zaznaczał parokrotnie, chodzi tu o kraje, zupełnie

mu nieznane. Jeszcze w ostatniej mowie w Izbie gmin, wygłoszonej 15 kwietnia, mówiąc o trudnościach, na które napotyka konferencya pokojowa, wskazał na sprawę cieszyńską, jako na przykład rzeczy nikomu przedtem nieznanej, a która jest w stanie wywołać wielkie trudności w obradach.

Niewątpliwie o wiele łatwiej przedstawiałaby się sprawa polska dla Anglików, gdyby oni byli lepiej o niej poinformowani. Opinia angielska więcej zawsze zajmuje się sprawami imperyum, aniżeli sprawami kontynentu europejskiego, jeżeli one z interesami Anglii nie mają bezpośredniego związku. Dla angielskiego ogółu Polska była niezbyt określonem pojęciem historyczno-geograficznem, a nie realnem, uchwytnem zagadnieniem. Dzisiaj stosunki się zmieniają przez sam fakt istnienia państwa polskiego, a wszelkie wątpliwości się rozwieją, gdy to państwo wykaże swoją zdolność życiową. Trzeba, by Anglia była bezpośrednio zainteresowana w Polsce, by związały ją z nami przedewszystkiem stosunki gospodarcze. Gdy Anglicy zrozumieją, że, jak pisał „Times“ 12 kwietnia *(Trade Supplement)*, Polska przedstawia „wspaniałe pole dla brytyjskiej przedsiębiorczości“, że Polska jest głównym pośrednikiem między wschodem i zachodem, że ma ogromne bogactwa naturalne, które obficie będą opłacały włożony w nie kapitał, to stworzy się grunt dla lepszego zrozumienia i politycznej strony kwestyi polskiej. Trzeba, by utwierdziło się przekonanie, wyrażone w temże piśmie, że „jest rzeczą pożądaną, by brytyjska przedsiębiorczość zastąpiła w Polsce niemiecką penetracyę, że tutaj otwierają się szerokie horyzonty dla brytyjskiego handlu i przemysłu w tych długo zaniedbywanych możliwościach rozwoju wschodniej Europy“.

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że wszystko sprowadza się do stosunków handlowych angielsko-polskich. Ale nie możemy zapominać o roli tych stosunków, o tem, że, jeżeli Anglia będzie silniej zaangażowana gospodarczo, to wtedy będzie i bardziej odporną przeciw wszelkim zamachom na polski stan posiadania. Wspomnieliśmy poprzednio, że niektórzy pacyfiści angielscy byli przeciwni poruszeniu kwestyi polskiej, gdyż ona zakłóca pokój i postępy wolnego handlu. Ale z chwilą, gdy już państwo polskie będzie się normalnie rozwijało, wtedy te same pobudki będą przemawiały na rzecz utrzymania polskiego państwa, za jego nienaruszalnością. Tendencya do utrzymania światowego pokoju będzie tendencyą

i dla nas korzystną, o ile oczywiście obecny traktat pokojowy przyniesie zaspokojenie naszych zasadniczych postulatów.

W tym samym kierunku może działać także i przyszły układ stosunków politycznych. Pobłażliwość dla Niemiec mogła się zjawić na tle tego wrażenia, że Niemcy gruntownie się zmienili dzięki tej wojnie, że wyrzekli się wszelkich zapędów zdobywczych. Może w niezbyt długim czasie przekonają się nawet najbardziej zaślepieni, że tak nie jest, że Niemcy i nadal zagrażać będą pokojowi świata i nowej europejskiej równowadze. Być też może, że zjawi się widmo sojuszu niemiecko-rosyjskiego, który to sojusz już bezpośrednioby godził w interesy angielskie. A wtedy i w Anglii ugruntuje się pełne zrozumienie znaczenia państwa polskiego; już nietylko jako tamy przeciw zalewowi bolszewizmu od wschodu, lecz jako potężnej przegrody, która przedziela od siebie dwa zdobywcze narody. Wtedy może i politycy, którzy niezbyt chcą mieszać się w stosunki europejskie, przyznają słuszność poglądowi wyrażonemu przed paru dniami przez wybitnego statystyka angielskiego, a zarazem pierwszorzędnego znawcę sprawy polskiej, pana Geoffrey Drage'a: „Tak jak po wojnach napoleońskich niezdolność wielkich mocarstw do odpowiedniego załatwienia sprawy polskiej stanowiła jedno z głównych, jeżeli nie główne źródło obecnej wojny, tak rozstrzygnięcie sprawy polskiej będzie realną próbą udania się lub bankructwa obecnej konferencyi w Wersalu, o ile chodzi o pokój na bliskim wschodzie, a w rezultacie i w Europie".

To też jeżeli dziś odczuwamy przykro niejedno wahanie się polityki angielskiej w stosunku do nas, to nie powód jeszcze, by uogólniać te wahania i wypowiadać negatywny wniosek o przyszłych stosunkach polsko-angielskich. Przeciwnie winno być naszem staraniem, by współdziałać w stworzeniu warunków, w których linia angielskiej polityki w stosunku do nas będzie się mogła zbiedz z linią naszej polityki. Chodziło nam w tej chwili o to, by zdać sobie sprawę z motywów polityki angielskiej. Staraliśmy się rzecz sprowadzić na grunt objektywny, wytłómaczyć rzeczowymi powodami takie lub inne jej stanowisko. Na politykę jednak, prócz pobudek rzeczowych, składają się i właściwości osobiste decydujących mężów stanu i cały szereg innych przypadkowych okoliczności. Bynajmniej nikt nie chce temu przeczyć, ale niepodobna wszystkiego sprowadzać na grunt przypadku, niepodobna materyałem anegdotycznym tłómaczyć polityki tak trzeźwej i chłodnej, jaką

jest polityka angielska. Jedną z cech tej polityki jest jej zdolność do przystosowywania się do coraz to nowej sytuacyi, uwzględnianie wszelkich nowych punktów. I te same motywy, które dziś skłaniają do zajęcia stanowiska nam nieprzychylnego, jutro mogą kazać zająć odmienne stanowisko. Już samo podkreślenie tego faktu wskazuje na doniosłą rolę, jaką może odegrać praca nad nawiązaniem żywszych stosunków z Wielką Brytanią. Pod jednym względem ta praca dziś jest łatwiejsza, tak w Anglii, jak wszędzie zagranicą, aniżeli była jeszcze niedawno: mamy dziś jedno państwo, jeden rząd i w stosunkach zewnętrznych jest miejsce tylko na jedną politykę.

Paryż, 18 kwietnia.

Roman Rybarski.

Kilka uwag o walucie polskiej.

Rząd ma przygotowany projekt walutowy, wedle którego nasza przyszła jednostka monetarna ma się równać frankowi, tj. z kilograma złota mamy wybijać 3.444 sztuk złotych polskich.

Ponieważ sprawa wprowadzenia własnej waluty połączona jest z wycofaniem walut państw rozbiorczych, których niezmierne ilości u nas obiegają, przeto jest ona tak aktualną, że zajmują się nią wszyscy, przyczem wyłaniają się rozpaczliwe projekty obrony obcych banknotów, które faktycznie w mniejszym lub większym stopniu uległy bankructwu.

Poruszając tę sprawę, nie mam zamiaru lekceważyć zdania tych, którzy na tę rzecz zapatrują się odmiennie; przyjmuję, że wszystkie zdania, w kwestyi walutowej dotąd wypowiedziane, oparte są wyłącznie na przekonaniu, że służą interesom Polski najlepiej.

Chciałbym, ażeby i mój głos był tak samo traktowany, gdyż istotnie nie powodowałem się niczem, jak jedynie tylko troską, aby waluta polska była istotnie tem, czem ją ustawa czyni, tj. aby złoty polski był istotnie jedną 3.444-tą częścią kilograma czystego złota.

Starałem się przytem trzymać zasady, że tylko ta rzecz jest słuszną, która równocześnie jest jasną i dla każdego zrozumiałą i dlatego ton mego artykułu może jest zanadto popularny. Chodzi mi o to, bym był nawet przez laików zrozumiany. Jeśli celu tego nie osiągnąłem, natenczas i mój projekt nadaje się do poprawy.

Przystępując do samej rzeczy, uważam, że pierwsze pytanie, na które powinniśmy odpowiedzieć, powinno opiewać następująco:

W jakim celu potrzebujemy wprowadzić polską walutę?

Nasze położenie polityczne wymaga, ażebyśmy siebie samych traktowali jako państwo dojrzałe do pełnego życia państwowego i zdolne do jego urządzenia. Nie jesteśmy Czarnogórą, ażebyśmy się mogli posługiwać walutą obcą. Niewątpliwie też, jak długo będziemy się posługiwać walutami państw rozbiorczych, pozostanie między nami i niemi pewien związek nietylko ekonomiczny, ale i polityczny. W końcu posługiwanie się walutami państw rozbiorczych utrudnia zlanie się odnośnych dzielnic w jeden organizm, wywołuje sprzeczne interesy itp.

Ważniejszą jednak od położenia politycznego, jest nasza przyszłość gospodarcza. Waluta państw rozbiorczych jest bardzo licha, wartość jej spada z dnia na dzień na rynkach zagranicznych, a ponieważ odbudowa naszego rolnictwa, przemysłu i handlu w dużym stopniu wymagać będzie znacznych importów, przeto będziemy za nie płacili albo nadmierne ceny, albo będziemy tych rzeczy poszukiwać w państwach rozbiorczych i w ten sposób dalej jak dotąd ekonomicznie od nich się uzależniać.

Troista waluta wytworzyła potrzebę ciągłej wymiany rubli na marki i korony i odwrotnie, co wprowadziło spekulacyę kantorów wymiany, wyciągającą spore zyski z tego interesu. Sytuacya, szczególnie w Galicyi, pogorszyła się pod tym względem z chwilą ostemplowania koron przez państwa powstałe z dawnej Austryi, gdyż w ten sposób powstały jeszcze dalsze 4 waluty. Także marki polskie nie mają tego samego kursu, jak niemieckie, panuje więc u nas nietylko rozgardyasz walutowy, ale otwarte jest pole do niezdrowej spekulacyi, na której z reguły traci człowiek mniej uświadomiony.

Wprowadzenie własnej, a zatem jednolitej, waluty ułatwi nam w wysokim stopniu ustalenie t. zw. minimum egzystencyi, a więc sprawiedliwych płac i wynagrodzeń za usługi, zrównanie cen towarów, które obecnie są inne w Królestwie, inne w Galicyi, a jeszcze inne w Księstwie, ułożenie przybliżonego budżetu wydatków państwowych i wprowadzenie takich podatków, które wystarczą na zwyczajne wydatki. Dziś w kwestyach podatkowych panuje taki sam chaos, jak w kwestyach walutowych, podatki procentowe są niejednokrotnie za wysokie (szczególnie przy podatkach progresyjnych), natomiast podatki stałe są częstokroć śmiesznie

niskie, bo wynoszą mniej więcej $^1/_5$ wartości przedwojennej, w innych wypadkach są zupełnie nierównomierne.

Sądzę w końcu, że wprowadzenie własnej waluty, połączone z równoczesnem sprowadzeniem brakujących nam surowców i środków spożywczych, pozwoli nam na skuteczną walkę z przygniatającą nas drożyzną, z rozpanoszoną lichwą towarową i umożliwi skalkulowanie przybliżonego bilansu handlowego, tak potrzebnego do nawiązania stosunków kredytowych z państwami zachodniemi.

Widzimy więc, że wprowadzenie waluty polskiej nie tylko jest celowe, ale i potrzebne, jeśli więc nie uczyniono tego dotychczas, to widocznie rzecz ta nie jest łatwą do przeprowadzenia.

Trudność polega na tem, że cele wyżej określone jedynie wówczas mogą zostać uzyskane, jeśli waluta polska będzie dobrą, jeśli istotnie pieniądz będzie rzeczywistym zamiennikiem towarowym, a nie, jak to się dzieje obecnie, kawałkiem zadrukowanego papieru, którego pokrycie w przyszłości zaopatrzone jest wielkim znakiem pytania.

Wartość waluty polskiej.

Nie chcę przesądzać kwestyi, jak sprawa t. zw. złotego pokrycia zostanie w przyszłości uregulowana i dlatego biorę pod rozwagę jedynie stosunki przedwojenne. Wedle nich prawie wszystkie większe państwa, mające pretensyę do państw dobrze urządzonych, opierają swoją walutę na złocie. O ile więc w obiegu znajduje się pieniądz papierowy, o tyle wedle ustawy walutowej, względnie statutów banków biletowych, posiadacz banknotu ma prawo żądać wymiany papieru na odpowiednią ilość złota. Złoto zaś dlatego przyjęte zostało jako zamiennik towarowy, ponieważ jego produkcya jest ograniczona, cena tego towaru na rynku handlowym świata podlega małym fluktuacyom, a przytem jest tak wysoka, że posiadanie większej ilości złota nie sprawia wielkich trudności technicznych.

Nabycie jednak złota jest związane, jak każda wymiana, z odstąpieniem za nie odpowiedniej ilości innych towarów o takiej samej wartości rzeczowej. Jeśli więc chcemy otrzymać złoto, musimy za nie dać zboże, naftę, węgiel, drzewo lub inne przedmioty. Przypływ więc złota do państwa, które tego kruszcu nie

wydobywa, zależy od nadwyżki jego wywozu, skoro zaś wywóz towarów będzie niższy od przywozu, to spotkamy się z odpływem złota. Ponieważ jednak złoto jest tylko zamiennikiem towarowym, przeto importy państwowe, nietylko efektywnem złotem musimy pokrywać, ale możemy je też płacić pretensyami, jakie posiadamy do obcych państw, t. j. t. zw. dewizami, albo obcemi walutami. Jak z tego wynika, wartość naszej waluty zawisła jest od dwóch warunków, od pokrycia banknotów złotem i od zapasu dewiz, względnie obcych walut w takiej ilości, ażebyśmy nasze konieczne importy mogli pokryć nie własną, ale obcą walutą. Przyszłość zaś naszej waluty zależy od tego, czy nasz wywóz będzie wyższy od naszego przywozu.

Wojna i połączone z nią nadmierne wydatki państw walczących, a także i państw neutralnych, poczyniła duże wyłomy w tych zasadach, wskutek czego dziś wymiana banknotu na pieniądz, tj. na złoto, prawie we wszystkich państwach jest zawieszona, jakkolwiek niektóre z nich posiadają nadmiar tego metalu. W normalnych czasach wolno było bankom biletowym wydać większą ilość not, jak zapas złota lub dewiz, pokrycie jednak dla tej nadwyżki stanowiły dobre, łatwo dające się zrealizować, a więc płynne pretensye tych banków do obywateli własnego państwa. Bank biletowy był więc w takiem położeniu, że jeśli chciał zmniejszyć ilość obiegających banknotów, zawieszał wypłatę nowych pożyczek, a równocześnie realizował poprzednio udzielone kredyty i w ten sposób w przeciągu krótkiego czasu mógł doprowadzić banknoty do stanu, równającego się pokryciu metalowemu. Działo się tak przynajmniej w teoryi i na tem oparta była wartość banknotu. — Dziś obiegająca liczba banknotów w wielu wypadkach przekracza 10 krotnie liczbę not obiegających przed wojną, a dłużnikiem banku jest po największej części samo państwo, które dopiero po przeprowadzeniu pewnych operacyi finansowych potrafi pokryć swoje zobowiązania, wskutek czego zrównanie obiegających not z zapasem złota jest niewykonalne. Ten stan rzeczy stworzył tak zwane disażio banknotów, względnie ażio złota, które w różnych państwach przedstawia się rozmaicie.

Kurs złotych marek notował np. dnia 23 marca 1919 w Warszawie 380 za 100, czyli ażio złota przy markach wynosiło w tym dniu około 73·5%; przeliczone w ten sam sposób inne waluty dają w okrągłych cyfrach następujące rezultaty: rubel i korona mają

disażio po 84·5%, frank francuski 34·5%, a ponieważ jego różnica kursowa z frankiem szwajcarskim wynosi około 18%, przeto okazuje się, że i waluta szwajcarska ma disażio mniej więcej 16%.

Ażio złota będzie w niektórych państwach wzrastać, w innych zaś obniżać się.

Przypuśćmy dla przykładu, że Francya i Niemcy mają taką samą ilość obiegających not np. po 18 miliardów fr. i taką samą ilość pokrycia w złocie np. po 5 miliardów fr. Jeśli więc Francya w drodze kontrybucyi wojennej potrafiłaby od Niemiec odebrać cały zapas złota i wykupić niem swoje zobowiązania w banku Francyi, natenczas stan banknotów spadnie tam na 13 miliardów, a stan pokrycia podniesie się na 10 miliardów i będzie już wystarczający do podjęcia wypłat w złocie, podczas gdy w Niemczech stan not poskoczy o 5 miliardów i będzie wynosić 23 miliardy; podczas gdy pokrycie spadnie do zera.

Ale na stan waluty nie tylko samo pokrycie metalowe ma wpływ decydujący, gdyż także zaufanie do dłużników, czyli wartość pretensyi banku do osób prywatnych i do państwa, odgrywa bardzo poważną rolę i dlatego właśnie disażio franków jest więcej jak o połowę mniejsze od disażia marek. Przypuszczamy, nie bez słuszności, że budżet państwowy Francyi prędzej dojdzie do równowagi, jak budżet Niemiec, wskutek czego długi Francyi w banku Francyi zaczną się zmniejszać, zaś długi Niemiec w ich banku przez czas nieokreślony będą się zwiększać.

Po tem wyjaśnieniu rzeczy mogę postawić twierdzenie, że waluta polska tylko wtedy będzie posiadać wartość, jeśli będzie pokryta odpowiedniemi wartościami realnemi. Wprowadzenie więc własnej waluty musi być uzależnione od spełnienia najistotniejszych warunków jej pokrycia, a jeśli poważylibyśmy się zlekceważyć obowiązujące prawa ekonomiczne, stworzylibyśmy odrazu walutę lichą i w rezultacie nietylko przez długie lata ponosilibyśmy skutki tego faktu, ale narazilibyśmy państwo na ciężkie przesilenia społeczne przez podtrzymanie dzisiejszej drożyzny.

Chodzi więc w danym wypadku o dobre postawienie waluty t. j. takie przygotowanie całej sprawy, ażeby jej rozpoczęcie było prawidłowe, a następnie o utrzymanie tego pierwotnego stanu na czas przyszły, czyli o utrzymanie waluty. Jeśli się na tę sprawę będziemy zapatrywać z punktu widzenia doświadczeń,

poczynionych w ostatnich latach wojennych, przyjdziemy do przekonania, że przyczyną zachwiania wypłacalności banków biletowych były państwa, które zmuszały te banki do przekraczania postanowień statutów w celu wydobycia potrzebnej im ilości banknotów. Była to ze stanowiska państwowego polityka samobójcza, która doprowadziła do zupełnego absurdu np. w Austryi i w Rosyi.

Państwo, jeśli stwarza pewne normy walutowe, jeśli dba o to, by jego obywatele posługiwali się dobrym pieniądzem, posiadającym także kurs na rynkach światowych, powinno równocześnie pamiętać, że swego wpływu na sprawy walutowe nie wolno mu wykorzystywać w sposób lekkomyślny. Niewątpliwie kwestya utrzymania całości państwa jest ważniejszą od kwestyi utrzymania całości waluty, ale przed podcięciem tego regulatora życia wewnętrznego i zagranicznego, powinno państwo wyzyskać wszystkie możliwe inne źródła kredytowe. W Anglii, w Stanach Zjednoczonych półn. Ameryki państwa czerpały potrzebne na wojnę fundusze od swych obywateli w formie istotnie wpłaconych pożyczek, przyczem odrazu myślano o pokryciu przypadających od nich odsetek, natomiast w państwach centralnych i w Rosyi zastępywano dopływ pożyczonych kwot fikcyą, za setkę nominalną trzeba było wpłacić najwyżej od 17 do 20%, resztę dawały banki biletowe, drukując w takiej ilości nowe noty, w jakiej przyjmowały do lombardu pożyczki. Nie mówię już o bezpośrednio wypłacanych państwom kredytach. Stworzono więc nadmierną ilość not, dla których prawie wyłącznem pokryciem jest pożyczka wojenna.

Naturalnie w takich warunkach wartość banknotów stoi w stosunku prostym do wartości pożyczek państwowych; jeśli te pożyczki nie będą spłacone, to i banknoty muszą ich los podzielić. Państwa, które przegrały wojnę, będą też zmuszone zapłacić jeszcze pewne odszkodowania, odcięte zostaną na czas dłuższy od światowych rynków zbytu, które zdobyły inne państwa, chcąc więc spłacić swoje długi, byłyby zmuszone swoich i tak nadmiernie znękanych obywateli obciążyć takimi podatkami, których oni nie będą mogli i nie będą chcieli płacić, z konieczności więc będą musiały wybrać jakąś formę bankructwa, nazwanego skromnie redukcyą. Redukcya ta nawet będzie uzasadniona tem, że pieniądze przez państwa ściągane i użyte na zapłatę rozmaitych potrzeb

państwowych miały w chwili wpływu do kas państwowych zmniejszoną wartość i jako zamiennik dawały coraz mniejszą ilość towaru. Ale te wszystkie stosunki nas nie dotykają bezpośrednio, nie mamy żadnych zobowiązań, ani bankowych, ani państwowych i nie wiemy jeszcze jakie obowiązki na nas spadną z tytułu przynależności do obcych państw, możemy więc budować swoje finanse z uniknięciem wszystkich błędów popełnionych podczas wojny i gdybyśmy tak nie postąpili bylibyśmy więcej jak lekkomyślni. Musimy więc przyjąć jako zasadę, że waluta nie służy do tego, by zdejmowała z państwa, jako gospodarza, troskę o pokrycie wydatków państwowych, czyli ułatwiała państwu robienie długów, ale do tego, by obywatele państwa mogli zaspokoić swoje potrzeby życiowe, przemysł nabyć potrzebne mu surowce, handel sprowadzić konieczne towary po cenach konkurencyjnych z zagranicy i w ten sposób nawiązać stosunki handlowe, wywozowe i przywozowe.

Streszczając to, co powyżej o wartości było powiedziane, dojść musimy do przekonania, że tylko ta waluta będzie dobra, która będzie pokryta wartościami, mającemi uznanie całego świata, tudzież która będzie się cieszyć racyonalną opieką państwową.

Różnice między dobrą a złą walutą.

Na pozór możnaby mniemać, że jest to zupełnie obojętne, czy będziemy np. płacić za tonę kawy 2.000 czy też 10.000 złotych polskich, a to zależnie od tego, czy kurs złotego będzie stał na równi z frankiem, czy też będzie posiadał tylko wartość 20 centimów. Kawę tę sprzedamy w takim razie po odpowiedniej cenie w kraju, a konsumenci zapłacą za nią wprawdzie nominalnie więcej, ale ich zarobki, ich płace i dochody będą dostosowane do tego niskiego kursu krajowej waluty i nic na tem nie stracimy. Państwo także będzie posiadało 5 razy wyższe dochody z podatków, gdyż przy ich wymiarze uwzględni niską wartość wewnętrzną pieniądza, wskutek czego jego dochody wystarczą na takie uposażenie obywateli, ażeby minimum swej egzystencyi mogli zaspokoić. — Otóż ten pozór, jak wogóle każdy pozór, jest dlatego szkodliwy, że przy podobnej, nieproporcyonalnie (w stosunku do ustawowej wysokości) niskiej walucie muszą się odbywać fluktuacye kursu i częste i duże, a to zależnie od jakichkolwiekbądź przy-

czyn. Każdy nieurodzaj, każde większe bankructwo, każda cokolwiek zadrażniona sytuacya polityczna, wywoła natychmiast spadek rzekomo ustalonego kursu, na kurs ten wpływać będzie każda zmiana gabinetu, każdoczesny stosunek do innych państw świata i inne tysiączne nie dające się przewidzieć przyczyny. Kto więc zakupi za granicami państwa towar, może w chwili jego nadejścia, a więc sprzedaży, spotkać się z zupełnie już inną wartością krajowego pieniądza. Zrozumie to najlepiej duży kupiec, który zawiera interesy dostawowe, kontraktowane na rok, albo i na kilka lat naprzód.

To samo prawo będzie miało analogiczne znaczenie przy sprzedażach zagranicznych i będzie ciągłą przyczyną bankructw naszego handlu i przemysłu, a co za tem, będzie przyczyną zupełnej utraty zaufania zagranicy do naszego ustroju gospodarczego. Otóż ciągła zmiana kursu waluty, tak zewnątrz jak i w następstwie wewnątrz kraju, tak długo będzie się odbywać, jak długo nie będzie dla tej waluty uznanego przez cały świat pokrycia realnego. Będziemy więc chorować na ciągłą drożyznę, ciągłe poprawy płac, ciągłe podnoszenie podatków i ciągłe niezadowolenie.

Tylko więc pokryta waluta da nam możność dobrego handlu zagranicznego i normalnego obliczania potrzeb państwa, tudzież prywatnych gospodarstw.

Szczególnie sprawa ta jest ważną przy programowem zwalczaniu drożyzny. Przyczyną drożyzny jest mała wartość wewnętrzna pieniądza, którym się posługujemy i mniejsza podaż odnośnego towaru od popytu. Do tych zasadniczych praw, znanych ogólnie przed wojną, dodać winniśmy obecnie jeszcze lekkomyślność w wydatkach i nieuczciwość producentów i pośredników. Jeśli i dzisiaj spotykamy się z objawem, że ludzie mający zdrowe zęby dają sobie nakładać złote kapturki, że profani zakupują dzieła sztuki, na których wcale się nie rozumieją, to nie będziemy się dziwili, że za te usługi ludzie nieuczciwi każą sobie, jako karę za głupotę i lekkomyślność, zapłacić znacznie więcej, jak przedmiot nabyty rzeczywiście powinien kosztować. Z natury rzeczy ten sam przedmiot podrożeje w rezultacie dla wszystkich.

Zakupywanie nadmiernych ilości przedmiotów niepotrzebnych znajduje też swe uzasadnienie w nadmiernej ilości cyrkulujących banknotów, tj. w jednym z objawów złej waluty. Ludzie nie umiejący ani rachować, ani kalkulować, widząc u siebie stosami ban-

knoty, poczynają je mimowoli lekceważyć i do wydatków niepotrzebnych nie przywiązują żadnej wagi.

Wielu ucieka z pieniądzmi, ażeby się uchronić od ich dalszego spadania i wytwarza w ten sposób zupełnie nieuzasadniony popyt na towary, który znów podnosi ich cenę.

Znowu więc tylko dobra waluta może wpłynąć na zmniejszenie liczby obiegających biletów bankowych, a co za tem idzie ns oględniejsze obchodzenie się z nimi.

Dobra waluta, a więc taka, która, jakkolwiek nie będzie z początku równa złotu, to jednak będzie miała małe disażio, nietylko będzie miała stały kurs za granicami Polski, ale ponadto kurs ten będzie się z roku na rok poprawiał, aż z biegiem lat dojdzie do równi ze złotem. Na dobrej więc walucie będziemy przez cały czas, aż do uzyskania parytetu, zyskiwać. Nie ulega więc wątpliwości, że różnica między złą a dobrą walutą jest wybitna.

Sposób wprowadzenia waluty, jej związek z finansowym planem.

Ażeby wprowadzić dobrą walutę, musimy ją oprzeć na rzeczowem pokryciu i starać się o to, by to pokrycie utrzymać przez cały czas obowiązywania waluty. Pokrycie polskiej waluty wyobrażam sobie w formie kapitału akcyjnego naszego, powstać mającego, banku biletowego, który musiałby być wpłacony w złocie, względnie w dewizach obliczonych na złoto. To byłby nasz pierwszy zapas złota. Drugim zapasem złota mogłaby być wewnętrzna pożyczka złota, której kupon i kapitał byłyby płatne bezsprzecznie w złocie. W ten sposób moglibyśmy zgromadzić znaczną część znajdującego się u nas złota i obcych walut. Dalszem pokryciem mogłaby być zagraniczna pożyczka walutowa. Przypuściwszy, że Polska będzie mogła zaciągnąć pożyczkę walutową np. w wysokości 2 miliardów franków i tę całą kwotę wymieni w banku biletowym na 2 miliardy złotych polskich, to bank biletowy polski mógłby rozporządzać efektywnem złotem w wysokości kapitału akcyjnego np. 200 milionów, rezultatem pożyczki złotej np. w wysokości 300 milionów i walutą frankową w wysokości np. 2 miliardów, czyli pokrycie jego wynosiłoby teoretycznie 2.500 milionów, a gdybyśmy przyjęli, że w pierwszych pięciu latach istnienia banku stosunek metalowego pokrycia do wypuszczonych not może wynosić np. dwukrotność pokrycia, to miałby on prawo do emitowania 5 miliardów bank-

notów. Naturalnie, że nadwyżka banknotów ponad pokrycie metalowe, względnie dewizowe, musiałaby być zabezpieczona takiemi wierzytelnościami bankowemi, które najzupełniej są płynne. Konstrukcya dewizowego pokrycia przedstawia mi się w następujący sposób: Na bilecie bankowym znajduje się klauzula, obowiązująca bank do wymiany banknotu złotem, osobną ustawą jednak zawiesza się wykonanie tego obowiązku na czas określony, a w to miejsce wprowadza się obowiązek wymiany polskiego banknotu na banknot francuski lub amerykański. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że jeśli istotnie posiadacz polskiego banknotu będzie mógł w każdej chwili wymieniać go na dobry obcy banknot, to istnieje pewność, że między polskim, a francuskim lub amerykańskim banknotem nie będzie żadnej różnicy i że każda podwyżka kursu franka lub dolara będzie równocześnie podwyżką kursu złotego polskiego. Z chwilą, z którą Bank Francyi podejmie wypłatę złotem, uczynimy to samo, albowiem oprzemy się na złocie francuskiem. Byłaby więc sprawa możliwa do załatwienia, gdybyśmy istotnie potrafili w Polsce pozyskać kapitał w złocie, względnie w przerachowanych na złoto dewizach i dostateczną pożyczkę zagraniczną, tudzież gdyby ilość wydać się mających banknotów wystarczała do obrotu w państwie.

Otóż nie jest wykluczoną rzeczą, że zaciągnięcie zagranicznej pożyczki albo wogóle nie będzie możliwe, albo warunki, jakie nam zostaną podyktowane przez zagranicę, będą tak uciążliwe, że nie będziemy mogli ich przyjąć. W takim razie musielibyśmy szukać wewnątrz państwa, względnie między Polakami za granicami państwa np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, pomocy przez zaciągnięcie pożyczki w walucie, albo zagranicznej, albo polskiej, płatnej wedle relacyi, odpowiadającej stosunkowi do franka. Wogóle musimy się przygotować nawet na ewentualność najgorszą, tj. że walutę polską będziemy budować wyłącznie własnemi siłami i bardzo małymi środkami. W tym wypadku możemy wprowadzić walutę rachunkową, o czem jeszcze później napiszę.

Z góry jednak musimy postawić zasadę, że nie możemy pozwolić polskiemu bankowi biletowemu na puszczenie w obieg za wielkiej ilości banknotów, że zrywamy raz na zawsze z samobójczą polityką finansową rosyjską, austryacką, a nawet niemiecką, fikcyjnego zaspakajania potrzeb państwowych przez bank biletowy. Ilość not musi być dostosowana do pokrycia, a bank bi-

letowy polski powinien być tak usamodzielniony, ażeby państwo nie mogło go zmusić do przekroczenia postanowień statutowych. Ilość potrzebnych do obiegu not da się mniej więcej obliczyć w stosunku do ich wartości. Przed wojną w 1913 r. wypadało w Rosyi K 33·25, w Niemczech 96·45 K w Austryi zaś 60·40 K na głowę mieszkańca pieniędzy. Obliczenie w koronach przyjąłem dlatego, ponieważ waluta polska będzie najwięcej zbliżona do waluty przedwojennej austryackiej. Liczba Polaków dałaby się obliczyć na około 30 milionów mieszkańców, przeto wypadłoby wedle przeciętnego stosunku około 51 K na głowę, a więc na 30 milionów 1.530 milionów banknotów, jako wystarczająca ilość obiegowa. Ta ilość jednak będzie stanowczo za niska, albowiem panująca drożyzna wymagać będzie znacznie zwiększonych kapitałów obrotowych, dalej wydatki wojenne, wydatki, spowodowane uruchomieniem naszego przemysłu, handlu i rolnictwa, będą tak znaczne, że będzie należało też pomnożyć środki obiegowe. Pomnożenie to przy powyższem udotowaniu banku polskiego będzie możliwe, jak poprzednio powiedziałem, do 5 miliardów, czyli zapas obiegowych banknotów byłby prawie o 230% wyższy jak przed wojną.

Postawiłem powyżej żądanie, ażeby bank polski był zupełnie od państwa uniezależniony, o ile chodzi o finansowanie interesów kredytowych państwowych. Żądanie to uzasadnione jest przypuszczeniem, że państwo polskie potrafi stworzyć dobrą walutę, ale nie potrafi jej utrzymać. Istotnie jeśli dochody państwa będą co roku mniejsze, jak jego wydatki, jeśli ponadto coroczny import zagraniczny będzie przewyższał wartość eksportu polskiego, to musi nastąpić chwila, w której państwo nie będzie posiadało środków na uskutecznianie państwowych wydatków, a następnie i obywatele państwa pozbędą się waluty polskiej na korzyść zagranicy, z której przywozić się będzie potrzebne nam towary, wskutek czego państwo nie będzie się nawet mogło zasilić pożyczką wewnętrzną. Wynika z tego, że wprowadzenie polskiej waluty musi być połączone przedewszystkiem z należytym planem finansowym, a więc dokładnym budżetem, pokrywającym normalne wydatki dochodami z podatków, dalej obliczeniem koniecznych importów i wyszukaniem dla nich pokrycia w zagranicznych pożyczkach, wkońcu z takiem zwiększeniem produkcyjności naszego rolnictwa i przemysłu, któreby nam pozwalało nie tylko zmniejszać z roku na rok przywóz, a powiększać wywóz, ale także uzyskać środki

na oprocentowanie i spłatę zagranicznych pożyczek. Liczyć się z tem musimy, że i zagraniczni wierzyciele tylko w takim razie przyznają nam dostateczny i dogodny kredyt, gdy będą z naszego planu finansowego widzieli pokrycie dla swych pretensyi. W granicach takich właśnie obliczeń możemy także przeprowadzać nasze plany społeczne, tj. podzielić je musimy na konieczne i pożyteczne. Te drugie możemy tylko wtenczas wprowadzić w życie, jeśli znajdziemy na nie pokrycie, w przeciwnym razie należy je odłożyć do czasu, kiedy ich przeprowadzenie finansowe będzie możliwe.

Jak z powyższego wynika, nie będziemy mogli bez dokładnych obliczeń, a więc bezkrytycznie, zapuszczać się w przeprowadzenie wszystkich pożytecznych urządzeń, tem mniej więc nie będziemy mogli porywać się na przedsięwzięcia ryzykowne, a niczem nie uzasadnione, przynajmniej nie uzasadnione żadną racyą ekonomiczną. Do podobnych zamierzeń zaliczam forsowaną przez niektóre sfery chęć konwertowania obcych, w Polsce obiegających, walut.

Związek waluty polskiej z walutami państw rozbiorczych.

Kwestyę powyższą stawia się u nas w ten sposób: Państwo jest obowiązane obywateli swoich wziąć w obronę przed konsekwencyami, jakie mają dotknąć naszą ludność wskutek spodziewanego zupełnego lub częściowego bankructwa państw rozbiorczych. Bankructwo to spowodowane będzie brakiem pokrycia dla wojennych i przedwojennych pożyczek państwowych, dalej skutkami wyniszczającymi długoletniej wojny. Otóż stoję również na stanowisku, że państwo polskie nie tylko z obowiązku ochrony swoich obywateli, ale i w dobrze zrozumianym interesie własnym jest obowiązane utrzymać szczególnie t. zw. małego człowieka, tj. klasę ludzi uzdolnionych do drobnego rolnictwa, przemysłu i handlu, dalej drobnych posiadaczy jakichkolwiek rent, gdyż gdyby ci ludzie potracili swoje warsztaty pracy, albo dotychczasowe źródła wyżycia, ciężar ich utrzymania spadłby na państwo z równoczesną utratą dochodów podatkowych. Niezaprzeczenie, że ten obowiązek dałby się między innymi sposobami wykonać też w ten sposób, że państwo skupićby mogło swoją walutą waluty obce, tak samo wszystkie pożyczki państw rozbiorczych i postawić rzekomo na nogi obecnych ich posiadaczy. Już na pierwszy rzut oka jednak

spostrzegamy, że tem działaniem objęlibyśmy nie tylko tych ludzi, których państwo ratować powinno, ale wogóle wszystkich, którzy posiadają kapitały w obcych walutach lub papierach, to znaczy też spekulantów wojennych, paskarzy i t. p. Ten więc społeczny wzgląd ma pewne niedokładności, obejmuje przedewszystkiem ludzi, nie potrzebujących koniecznie opieki państwowej, a zupełnie pomija posiadaczy małych posiadłości gruntowych, małych warsztatów rzemieślniczych i t. p.

Skoro więc podobny projekt nie może być uważany jako jedyne trafne rozwiązanie sprawy, przeto możemy śmiało rozważyć jego słabe strony, a następnie postawić inny projekt, który to społeczne zagadnienie może rozwiązać w sposób odmienny.

Zastanówmy się więc, czy mamy prawny obowiązek konwersyi obcych not na polską walutę? Odpowiedź na to pytanie musi wypaść przecząco. Banknoty rosyjskie, niemieckie i austryacko-węgierskie obowiązane są wykupić te banki, które je emitowały; państwo polskie, względnie bank polski, gdyby je wykupiły, to tylko w tym celu, ażeby w imieniu swych obywateli zażądać następnie od właściwych banków spełnienia ich obowiązku. Rozliczenie byłoby możliwe jednak tylko wtenczas, jeśliby się równocześnie powiodło obce banki uruchomić. Uruchomienie to przedstawia się w rozmaitych państwach odmiennie. W Austro-Węgrzech należałoby spłacić, tj. rozdzielić między wszystkie kraje, które w skład dawnej Austryi wchodziły, długi państwowe, a gdyby się to stało, bank biletowy otrzymałby na wykup lombardów w papierach austryackich taką ilość banknotów, którąby ich stan doprowadziła do normalnego, a co za tem idzie kwestya obiegających not byłaby tem samem zupełnie załatwiona. W Rosyi bank państwowy, zdaje się, nie ma nawet fikcyjnego pokrycia dla obiegających banknotów, tam więc tylko jakaś operacya finansowa zagraniczna, albo redukcya, połączona z nową emisyą biletów bankowych, opartych na pewnem pokryciu, mogłaby tę sprawę załatwić. W Niemczech wreszcie sprawa pokrycia obiegających marek zależy od warunków pokoju i od tego, czy to państwo zdoła się ekonomicznie tak dźwignąć, że potrafi powoli, w ciągu może długiego szeregu lat wydobyć się z dzisiejszego położenia. Dlatego też w stosunku do koron i rubli waluta niemiecka, jako mająca pewne szanse, stoi dotąd najlepiej.

Przedstawiwszy w ten sposób nasz stosunek do państw roz-

biorczych, musimy z całą stanowczością stwierdzić, że rozwikłanie spraw walutowych tych państw wcale **nie leży w naszych rękach**, nie mamy i nie będziemy mieli na to rozwiązanie prawie żadnego wpływu. Wpływ możemy mieć jedynie na stosunki austryackie, o ile inne państwa na gruzach Austryi powstałe będą uważały, że wspólne rozwikłanie interesów austryackich leży we wspólnym interesie wszystkich. Jak dotąd, czynią te państwa wszystko, ażeby kurs korony obniżyć.

Jaki więc skutek nastąpiłby, gdybyśmy skupili wszystkie marki, ruble i korony, kursujące w Polsce i za granicami Polski, gdyż nie możemy się łudzić, że przedłożonoby nam także zaopatrzone fałszywym stemplem waluty, obiegające gdzieindziej. Posiedlibyśmy kilkanaście miliardów obcych walut, płacąc wzamian za nie swoją walutą, którą chcielibyśmy przecie utrzymać na poziomie, odpowiadającym ustawie. Taki postępek zupełnie równałby się szaleństwu, wyglądałby tak, jak gdyby człowiek ubogi zamieniał pożyczone kapitały na rzeczy bezwartościowe lub o wartości zupełnie nieokreślonej. Taka spekulacya finansowa mogłaby być zrozumiana wtenczas, gdyby nam się udało skupić te waluty po niskim kursie z uzasadnioną nadzieją, że ten kurs się podniesie i że znajdziemy dobrego odbiorcę, któremu będziemy mogli je z zyskiem sprzedać. Dążenie jednak obrońców tego projektu idzie dalej, chcą oni ratować fikcyjną wartość rubli, koron i marek w przekonaniu, że rzecz ta da się przeprowadzić. Powstają przytem spory dzielnicowe, podejrzenia, że posiadacze marek chcą pokrzywdzić posiadaczy rubli i koron i odwrotnie. Każda dzielnica, rzekomo w interesie swoich bliższych obywateli, dąży do tego, by za walutę, którą się posługuje, otrzymać jak najwięcej i niewątpliwie posłowie sejmowi będą w istotnym kłopocie, jeśliby podobna zasada została przyjęta. Posiadacze koron chcą, by za tę walutę płacono złotego polskiego, natomiast za marki zapłacono po 1·20, zaś za ruble po 2·50. Jeśli złoty polski miałby się równać frankowi, to z uwagi na kurs korony 25, marki 50 i rubla około 60 centimów przepłacilibyśmy koronę o przeszło 416%, markę o 240%, a rubla o przeszło 440%. — Gdyby w Polsce obiegało 8 miliardów koron, 5 miliardów marek i 4 miliardy rubli, to strata na podobnej konwersyi wynosiłaby 18 miliardów 170 milionów, gdyż zamiast kupić korony za 1.930, marki za 2.500 milionów i ruble za 2.400 milionów, zapłacilibyśmy za korony 8,

za marki 6 i za ruble 10 miliardów, wydając na konwersyę 24 miliardów, zamiast 6.830 milionów. To byłby więc wydatek jedynie tylko na obce waluty, osobno musielibyśmy się załatwiać z pożyczkami wojennemi obcych państw, nie mówiąc już nic o innych potrzebach, jak zaległe rekwizycye, szkody wojenne, inwalidzi, wdowy, sieroty itp. Sama amortyzacya tego długu, nawet skromnie oprocentowanego, wyniosłaby rocznie około miliarda złotych. Takie obciążenie młodego budżetu Polski, byłoby katastrofalne, tem bardziej, że nasz budżet będzie i tak za silnie obciążony. Nie tylko podobna kombinacya jest wprost niemożliwa do przeprowadzenia, ale ponadto byłaby ona zupełnie bezskuteczna. Jest bowiem największą iluzyą, jeśli się sądzi, że przez ustanowienie fikcyjnej relacyi korony, marki lub rubla do złotego polskiego, podniesie się kurs tych walut, gdyż, zamiast z rzeczy bezwartościowej uczynić rzecz posiadającą wartość, uczynimy odwrotnie, tj. własną walutę zdeprecyonujemy do wartości 20% i uczynimy to na czas bardzo długi, nie mówiąc już o innych konsekwencyach podobnego stanowiska, jak drożyzna, nadmierne podatki, brak kredytu zagranicznego, a w końcu uzasadnione niezadowolenie konsumentów i wynikające z tego konsekwencye.

Przytem należy niedwuznacznie podkreślić, że nadanie rublom, markom i koronom wartości jednego, jednego i 1/5, względnie dwóch i pół franków, gdyby ta wartość miała jakie realne znaczenie, nie byłoby niczem innem, jak wzbogaceniem posiadaczy obcych walut. Niewątpliwie że wojna doprowadziła w wielu wypadkach do dobrowolnej lub przymusowej likwidacyi nasze rolnictwo (inwentarze żywe i martwe), nasz przemysł (surowce i urządzenia fabryczne), wogóle wszystkie stany, które zjadły lub potraciły w czasie wojny swoje urządzenia domowe, ubrania, bieliznę i t. p. W miejsce tych utraconych przedmiotów wstąpiły waluty, tj. pieniądz papierowy za utracone zapasy uzyskany, zapas jednak krążących pieniędzy jest znacznie wyższy od wartości straconych rzeczy. Jak podałem wyżej, zapas obcych walut, przeliczony u nas wedle kursu normalnego na franki, uczyniłby około 24 miliardów czyli przeciętnie na głowę mieszkańca przy 30 milionach ludzi sama gotówka, bez policzenia ukrytego srebra i złota, wyniosłaby 800 franków, zamiast przedwojennych 51 franków.

Nie posiadam dokładnych cyfr sum, wypłaconych we wszystkich zaborach za rekwizycye, ani tem mniej cyfr rzeczywistego zuży-

cia tych kwot, sądząc jednak po wydatkach na ten cel uskutecznionych w zaborze austryackim, przypuszczam, że pieniądze, pochodzące z t. zw. likwidacyi, nie przekraczają kwoty 4 miliardów koron. Pozostaje nam więc jeszcze około 20 miliardów zdeprecyonowanych na około 20% walut obcych, a więc jeszcze około 4 miliardy franków na pokrycie przedwojennego obiegu 1.500 milionów.

Niewątpliwie więc słusznie możemy powiedzieć, że nadanie wartości frankowej obiegającym u nas obcym walutom, gdyby nie było najzupełniejszą fikcyą, wzbogaciłoby niepomiernie pewne warstwy na szkodę całego społeczeństwa.

Sądzę, że wykazałem w dostateczny sposób niewykonalność pomysłu nadawania obcym walutom fikcyjnej wartości. Uważam, że wogóle przyjęcie na siebie obowiązku konwersyi obcych walut nie jest możliwe do przeprowadzenia, musielibyśmy bowiem zbalastować naszą walutę w wysokości około 7 miliardów zł. pols. walutami złemi, które powinniśmy jak najrychlej z Polski wypchnąć. Te właśnie waluty powinny być użyte na konieczne importy i właściwą politykę dewizową, możemy właśnie skierować je za granice państwa polskiego, przez co nawet kurs tych walut w miarę ich ubytku będzie się podnosić.

Stosunek waluty polskiej do walut państw rozbiorczych.

Z motywów, które wyżej podałem, nie możemy mówić o innym stosunku między walutą polską a walutami obcemi, jak o stosunku handlowym, notowanym na giełdzie. Każdy inny stosunek, nie odpowiadający rzeczywistości, nie podtrzyma kursu walut obcych, tylko stworzy jeszcze jedno pole do nadużyć, których mamy już dość. Wszelkie więc sztuczne ustawy o kursie, nie odpowiadającym cenom targowym, tylko wówczas mogą być pożyteczne, jeśli będą uczciwie i celowo wykonane, inaczej są tylko źródłem dalszych nadużyć w postaci przekupstwa i szykany organów mających je wykonywać.

Jedyne sposoby utrzymania kursu obcych walut polegają na racyonalnem kierownictwie naszego handlu zagranicznego i na uporządkowaniu naszego stosunku prawno-ekonomicznego do państw rozbiorczych. Jest to osobna zupełnie sprawa, o której tu pisać nie mogę z uwagi, że odbiega ona od przedmiotu, a jest tak obszerna, że musiałbym jej poświęcić najmniej tyle miejsca, wiele

zabiera kwestya waluty. Przyczem sprawa ta, jako wchodząca w zakres pertraktacyj pokojowych, nie nadaje się do publikowania przed czasem.

Jeśli więc chodzi o obronę naszych obywateli przed nadmiernemi a dającemi się uchronić stratami, to sposób musi się znaleźć właściwy i wedle mego zdania jest on zupełnie prosty. Przedewszystkiem nie obejmować bankructwem, jakie dotknęło obce nam dziś państwa i banki, naszych wierzytelności, pokrytych zupełnie dobrze realnemi wartościami, jak np. naszych listów zastawnych, wierzytelności hipotecznych, polic asekuracyjnych i t. p. Ponieważ w tych wartościach zaszły w ciągu wojny zmiany, przeto przez odpowiednie ich przerachowanie wyprowadzić zyski obecnych posiadaczy tych wartości, ewentualnie przedmiotów, które podczas wojny zostały oczyszczone, następnie te zyski przypadkowe, czy spekulacyjne, jakie z tej przyczyny uzyskali dłużnicy, traktować jako zyski wojenne i nałożonym na nie podatkiem wojennym pokryć straty wojenne drobnych posiadaczy przedwojennych wkładek i innych podobnych wierzytelności. Nie widzę bowiem ani ekonomicznej ani logicznej racyi, dlaczego bankructwo banknotu, wydanego przez obce nam banki, miałoby powodować równoczesne bankructwo dłużników, których zobowiązania wprawdzie opiewa[illegible] na tę samą walutę, ale są pokryte. Przecież waluta nie jest [illegible]e wnoznaczna z pretensyą, jest ona tylko oznaczeniem ilości [illegible]a-wdziwego stosunku jednostki monetarnej do wartości metalu. Takie ograniczenie bankructwa do rozmiarów rzeczywistej konieczności jest więc nietylko logiczne, ale także odpowiada interesom wszystkich małych, niespekulujących kapitałów.

Waluty obce może państwo przyjmować przez czas określony według ich kursowej wartości na opłatę podatków i używać tego wpływu na zapłatę ewentualnych naszych długów zagranicznych, szczególnie wobec państw rozbiorczych.

Załatwienie więc kwestyi społecznej, jaka niewątpliwie wyniknie z powodu bankructwa obcych walut, może jedynie z dobrym i racyonalnym skutkiem nastąpić przez odszkodowanie, które zostanie tylko do tych osób ograniczone, które istotnie szkodę poniosły i które pomocy państwowej z przyczyn polityki społecznej państwa będą potrzebowały. Przez takie i tylko przez takie postawienie kwestyi unikniemy też zupełnie bezcelowego, a w wysokim stopniu niemoralnego, zwolnienia dłużników z ich obowiąz-

ków prawnych. Przyjmijmy, że dłużnik przed wojną zaciągnął zobowiązanie w pieniądzach o pełnej wartości. Np. po śmierci ojca dwaj bracia podzielili się spadkiem w ten sposób, że jeden otrzymał dom, a drugi miał pobrać spłatę w gotówce, zabezpieczoną na tym samym domu. Obecnie dom niewątpliwie zatrzymał swoją wartość, ale wierzytelność drugiego spadkobiercy, należna w gotówce, spadła na 20%. Jaka zachodzi racya ekonomiczna, czy też logiczna, ażeby jeden ze spadkobierców kosztem drugiego się wzbogacił, względnie na korzyść drugiego otrzymał tylko piątą część tego, co mu się należy. Tylko odróżnienie imienia waluty od wartości pretensyi pozwoli nam sprawiedliwie rozwikłać nasze poplątane stosunki prawne, ocenić wartości ekonomiczne wedle równych dla wszystkich zasad. Takie ujęcie sprawy pozwoli nam też wypośrodkować sprawiedliwie zyski i straty wojenne, wynikłe z powodu ciągłego spadku walut państw rozbiorczych, zyski te pobrać na rzecz tych, którzy nie potrafią inaczej się pokryć. Nie zaprzeczam, że sprawa ta będzie bardzo trudna do ułożenia, odnośna ustawa będzie wymagała nie tylko dokładnej znajomości stosunków prawnych, ale i uwzględnienia wszystkich wahań walutowych podczas wojny, oceny wartości nabywczej pieniędzy w okresie przeszło 4-ro letnim, nie wynika jednak z tego, ażebyśmy się z powodu tych trudności mieli uciekać do sposobu najkrótszych operacyi, gdyż ze sprawiedliwem rozwiązaniem tej sprawy łączy się nie tylko przyszła równowaga ekonomiczna naszego społeczeństwa, ale także zadowolenie tego społeczeństwa z powodu sprawiedliwego traktowania ogółu.

O walucie rachunkowej, jako przejściowej.

Wspomniałem w tekście tego artykułu, że w danym wypadku będziemy zmuszeni oprzeć się na walucie rachunkowej, winien więc jestem czytelnikowi wyjaśnić, jak się na tę sprawę zapatruję. Wyobrażam sobie, że w teoryi wprowadzamy walutę frankową, wedle której będą się miały regulować wszystkie dochody i wydatki tak samego państwa, jak i jego obywateli. W tej walucie zostaną wymierzone opłaty państwowe, płace, wynagrodzenia i t. p. W tej też walucie zostaną ustalone wierzytelności, względnie długi przedwojenne i wojenne, do niej będzie dostosowana wartość towarów, wogóle ta nowa waluta będzie nas we wszyst-

kich interesach krajowych obowiązywała. Ponieważ jednak mając ustawę, nie będziemy mieli faktycznie pieniędzy własnych, względnie z powodu niemożności kredytowej nie potrafimy naszego planu wykonać, ponieważ zaś, z drugiej strony, nasi obywatele będą w wielkiej obfitości posiadać waluty rublowe, markowe i koronowe, których kurs zechcemy podtrzymać, przeto państwo może zezwolić, ażeby wzajemne wyrównania, opiewające względnie przerachowane na walutę polską, były do pewnego czasu wykonywane w walutach obcych; wedle stosunku tych obcych walut do franka francuskiego. Stosunek ten byłby raz na miesiąc, względnie raz na tydzień, przez państwo, na podstawie istotnej wartości handlowej, ogłaszany.

Przypuśćmy, że urzędnikowi należy się miesięcznie płaca 300 złotych polskich, stosunek wartości franka do rubla wynosi w dniu płatności 0·60 ctm., otrzyma on więc zamiast 300 złotych, w rublach 500. — Kupujemy bilet kolejowy z Krakowa do Warszawy za 40 złotych polskich i płacimy za niego koronami wedle stosunku 1 frank równy 0·25 K. Zapłacimy więc za bilet K 160. Mieszkanie w Warszawie zostało w czasie wojny najęte za 300 marek miesięcznie i czynsz ten został jako słuszny utrzymany. Przyjmując stosunek marki do franka na 0·50 możemy zapłacić za to mieszkanie albo 300 marek, albo 150 złotych polskich, albo 600 koron, albo w końcu 250 rubli. Przy tej walucie rachunkowej możemy powoli, w miarę możności, wprowadzać walutę polską przez zapłatę części, np. połowy w walucie polskiej, reszty zaś w walucie obcej. Taki sposób rozwiązania sprawy, jakkolwiek gorszy od natychmiastowego wprowadzenia porządnej waluty własnej, jest jednak znacznie lepszy od obecnego stanu rzeczy, który nie pozwala zgoła na jakąkolwiek normalną gospodarkę.

Cóż więc z tego urzędnikowi lub robotnikowi np., że on dziś otrzymał płacę np. 20 marek lub 30 koron dziennie, skoro siła kupna tej kwoty jest z każdym dniem mniejsza. — Wartość pieniądza stoi w prostym stosunku do ceny towaru, skoro więc wartość ta spada, cena towarów się podnosi. Otóż przy walucie rachunkowej w wysokim stopniu zapobiegłoby się tej niesprawiedliwości. Jak wynika samo z siebie, podobne postawienie sprawy zmusiłoby państwo do oznaczania prawdziwego kursu obcych walut i do zupełnie równego traktowania wszystkich walut państw rozbiorczych. Takie powolne wprowadzanie własnej waluty, po-

zwoliłoby nam też na powolne konsumowanie walut obcych i dlatego wprowadzenie waluty rachunkowej (teoretycznej) uważam za lepsze, jak utrzymanie tego stanu, jaki obecnie cierpimy.

Uwagi końcowe.

Sprawa waluty polskiej będzie decydować o przyszłem ekonomicznem stanowisku i o przyszłym rozwoju Polski, jest więc ona tak ważna, że zupełnie słusznie wszyscy fachowcy mogą się domagać, żeby przed wniesieniem projektu do Sejmu całą rzecz rozpatrzeć na odpowiednio zwołanej ankiecie. Ankieta powinna być oparta na wyczerpującym kwestyonaryuszu. Dalej zasadniczo musi być postanowiona zupełna równość w traktowaniu wszystkich walut państw rozbiorczych, w końcu zaś powinien być ustalony obowiązek państwa ochrony tych instytucyi i osób prywatnych, a więc małoletnich, drobnych posiadaczy wkładek i t. p., których utrzymanie ze względów społecznych jest konieczne.

Ankieta taka powinna się składać z osób, które dają gwarancyę, że jej wyników przed czasem nie podadzą do wiadomości publicznej i w ten sposób nie ułatwią spekulacyi na niekorzyść osób ekonomicznie słabszych i niezoryentowanych w chaosie walutowym.

Jakkolwiek straty, jakie wskutek przeciągania się uregulowania waluty są niewątpliwie znaczne, jednak nie stoją one w żadnym stosunku do strat, które moglibyśmy wywołać niedokładnie opracowaną ustawą walutową.

Pamiętajmy, że dla przyszłego dobra państwa polskiego musimy w okresie budowy tego państwa ponieść pewne ofiary, stawiajmy więc silne fundamenty ekonomiczne, bo od nich zależy wytrzymałość i trwałość domu, w którym chcemy przez długie wieki zamieszkać.

W Krakowie, 3 kwietnia 1919 r.

Emil Schmidt.

Spisz, Orawa i okręg czadecki

w świetle polskich praw historycznych.

Rzut oka na zachodnie pogranicze węgiersko-polskie dozwala stwierdzić trzy bardzo wyraźne łuki, jakby trzy wręby, któremi dawne państwo węgierskie wdarło się w obręb naturalnych granic ziem polskich. Owe trzy wręby to są: półn. Spisz, górna Orawa i okręg czadecki (w północnej części żupaństwa trenczyńskiego), przedzielone dwoma wyskokami polskimi: Żywiecczyzną i Nowotarszczyzną. Charakter tego pogranicza, jako rezultatu wdarcia się Węgier na terytoryum odwiecznie polskie, występuje jaskrawo w świetle stosunków etnograficznych. Cały bowiem ten pas pograniczny północnych Węgier, przypierający do Śląska cieszyńskiego i Małopolski, a obejmujący wspomniane trzy ziemie, zamieszkany jest po dziś dzień w zwartej masie przez lud polski, który nie różni się ani mową, ani obyczajami od polskich mieszkańców sąsiednich ziem Śląska i Podhala. Poza tym zwartym pasem zasiedlenia tworzą Polacy na Górnych Węgrzech cały szereg wysp językowych, rozsianych pośród ludności słowackiej, a ponadto żyją tam rozproszeni i zmieszani z Słowakami, Niemcami i ruskimi Łemkami.

Żywioł polski na Węgrzech, sąsiadując z większością obcoplemienną, językowo pokrewną, pozbawiony warunków narodowego rozwoju i praw narodowych w gminie, szkole i kościele, odcięty nadto od wpływów kulturalnych swej polskiej macierzy i zgoła przez nią zaniedbany, ulega od wieków powolnemu wynarodowieniu, a obszar przezeń zamieszkany stale się kurczy.

Na podstawie dawnych wykazów statystycznych oraz spostrzeżeń uczonych polskich i czeskich można stwierdzić, że tam, gdzie

przed laty stu była ludność rdzennie polska, a przed laty pięćdziesięciu jeszcze przeważająco polska, tam dziś już znikła ona prawie zupełnie (np. w okolicy Trzciany i Twardoszyna). Granica językowa polsko-słowacka, cofając się stale na północ, pozostawia jednak za sobą ślad pierwotnej polskości w postaci dyalektu przejściowego, o charakterze mieszanym słowacko-polskim. Językoznawcy czescy i polscy stwierdzili między pasem językowym czysto polskim a czysto czeskim i słowackim istnienie dość szerokiego pasa gwary t. zw. laszskiej (Lachów), mającej cechy dyalektu przejściowego. Sama nazwa tej gwary wskazuje, że cały ten pas, sięgający na południu aż prawie po Wag (pod Żylinę) i górny Hornad, jest śladem pierwotnego zasięgu szczepu Lachów, którem to mianem, jak wiadomo, sąsiedzi określali, a do dziś dnia Rusini określają, Polaków. Nie mniej także owe liczne wyspy językowe polskie, kryjące się po zaułkach niedostępnych dolin karpackich aż po Hroń i górną Ipolę są w przeważnej części pozostałością bardzo starego zasiedlenia polskiego. We wschodniej części Słowaczyzny, w żupaństwie szaryskiem i zemplińskiem, żywioł polski dość gęsto zasiedla doliny rzek Ciepłej (Topli) i Ondawy, a narzecze wschodnio-słowackie ma tak silny podkład fonetyczny polski, że językoznawcy nie wahali się nazwać go narzeczem polsko-słowackiem.

To wszystko wskazuje, że element polski na Górnych Węgrzech, pozostający dziś pod naporem żywiołu słowackiego w stadyum ciągłego cofania się, im dalej w przeszłość, tem w stosunku do Słowaków był silniejszy i rozleglejszy. Słusznie też twierdził przedwcześnie zmarły uczony słowacki Czambel, najlepszy znawca Słowaczyzny, że Polacy na Spiszu i na wschód od niego w Szaryskiem i Zemplińskiem byli pierwszymi mieszkańcami słowiańskimi.

Skoro autochtonizm Polaków za Karpatami nie ulega wątpliwości, nasuwa się pytanie, kiedy i skąd oni tam przyszli. Odpowiedź może być tu tylko ogólnikowa: osiedlenie to odnieść trzeba jeszcze do doby plemiennej, tj. do czasu przed powstaniem pierwszych państwowych organizmów słowiańskich. Rzuciwszy okiem na rozmieszczenie szczepów po obu stronach Karpat, dostrzegamy, że na całej rozciągłości potężnego ich łuku, ludy, które obsiadły przed wiekami zewnętrzne stoki gór, wszędzie przedostały się na stronę wewnętrzną łuku i promieniami dopływów dunajowych zdą-

żały ku nizinie węgierskiej. Taki koncentryczny ruch osiedleńczy wykazują Rumuni, Rusini, Polacy i Słowacy.

Podczas gdy szczep lechicki Wiślan przedostał się na południowe zbocza Beskidu licznemi przełęczami oraz wyłomami Dunajca i Popradu, czescy Słowacy przenikali od Moraw w kierunku wschodnim poprzez niskie łańcuchy Małych Karpat i Bielaw, oraz niziną Dunaju, a następnie jego lewobrzeżnymi dopływami (Wagiem, Hroniem) pchali się ku północy, w polski obszar osiedlenia.

Najazd Madziarów, którzy w końcu IX. w. zajęli centralną nizinę węgierską, kładąc tamę dalszemu rozpościeraniu się Słowaków na południe i wschód, wzmocnił nacisk ich ku północy. Jakkolwiekbądź, dzisiejsza Słowaczyzna była przed dziesięciu wiekami stosunkowo bardziej polska, niż dzisiaj i to nam tłumaczy, że weszła ona w skład państwa piastowskiego już w najwcześniejszej dobie jego istnienia. Bolesław Chrobry bowiem, jednocząc wszystkie ziemie, zamieszkane przez szczep lechicki, nie zapomniał i o Polakach zakarpackich, przyłączywszy do Polski całą Słowaczyznę po Dunaj i Cisę. Ten niewątpliwy fakt stwierdzają zgodnie najdawniejsze kroniki polskie i węgierskie. Południowa granica Polski bolesławowskiej sięgała do Dunaju, biegnąc od Ostrzyhomia popod miasto Jagier ku Cisie, stąd skrajem wyżyny górno-węgierskiej dochodziła do Karpat w okolicy przełęczy użockiej, gdzie na ówczesnem rozgraniczu Polski, Węgier i Rusi stał prastary gród Halicz. Zwrócić trzeba uwagę, że ta południowa granica państwa polskiego z końca X w. dokładnie pokrywa się z dzisiejszym zasięgiem państwa Czecho-Słowaków.

Po śmierci Chrobrego Polska utraciła południową część Słowaczyzny na rzecz rozrastającego się i potężniejącego coraz bardziej państwa węgierskiego. Osłabiona wewnętrznymi przewrotami za Mieszka II i w czasie bezkrólewia po nim, nie miała Polska dość sił, aby utrzymać swe ziemie kresowe, na które — podobnie jak dziś — uderzyli zewsząd sąsiedzi: Czesi zagarnęli Śląsk, Rusini Grody czerwieńskie, a Węgrzy Słowaczyznę. Wyszedłszy jednak szczęśliwie z tego zamętu, odzyskała Polska za Kazimierza Odnowiciela i Bolesława Szczodrego przeważną część swych kresów — odzyskała i Zakarpacie, choć nie całe. Skurczyła się ta południowa marchia Polski, sięgając po rzeki Wag i Hornad. Przynależność Poważa do Krakowa w końcu XI w. stwierdzona jest współczesnym dokumentem z r. 1086, a śladem tego pogranicza może być

szereg osad nad Wagiem i Hornadem, których nazwy (takie jak: Straża, Strażka, Broniszcze, Grodzisko i t. p.) wskazują, że to były warownie, broniące polskich rubieży. Hornad jako dawną granicę Polski wymienia stara tradycya na Słowaczyźnie, zapisana jeszcze przed 1$^1/_2$ rokiem przez historyków węgierskich. Do niedawna zaś żyła śród górali tatrzańskich, a może i dziś jeszcze tuła się tam świadomość, że „sprawiedliwa granica polska była u mostów gieńciańskich, trzy mile na południe od Koszyc". Te Giencie, to oczywiście miasto Göncz nad Hornadem, a zgodność obu tradycyi, węgierskiej i polskiej, wzmacnia tylko siłę ich wiarygodności.

Otóż tam w dorzeczu Hornadu był pierwotny Spisz, tj. ziemia, należąca do grodu spiskiego (Szepesvaralja), którego potężne zwaliska sterczą po dziś dzień na wyniosłej górze, nad miasteczkiem Podegrodziem (Kirchdrauf), rozsiadłem u stóp grodu. Gród spiski, jako pierwotne centrum krainy, od niego mianem tem ochrzczonej, należał podówczas oczywiście do Polski, jako jedna z jej kresowych warowni.

Ale i tej drugiej linii granicznej nie zdołała Polska trwale utrzymać, w ciągu XII. i XIII. w. zmuszona cofnąć swe rubieże jeszcze dalej na północ, ku grzbietowi Beskidu. Powodem tego dalszego kurczenia się granic naszych zakarpackich był z jednej strony coraz silniejszy nacisk ekspansyi węgierskiej, z drugiej zaś strony zwątlenie odporności Polski, jako następstwo rozpadnięcia się na dzielnice po testamencie Bolesława Krzywoustego. W tym właśnie okresie rozbicia dzielnicowego Polski, Węgrzy, prąc na południowe jej granice, wyrębują w nich owe trzy łuki, o których wspomnieliśmy na początku: górno-trenczyński, orawski i spiski.

Rozpatrzmy po kolei ten proces wdzierania się Węgrów w nasze zakarpackie ziemie.

1. W ż u p a ń s t w i e t r e n c z y ń s k i e m granice Polski (tj. górnego Śląska) z nad Wagu cofnęły się pod naporem Węgrów zrazu (wiek XII) na dział wodny między Wagiem a górną Kisucą. Kolonizacya węgierska, posługująca się tu miejscowymi elementami słowackimi, wyparła następnie tę granicę w ciągu XIII w. nad sam bieg Kisucy. Rychło jednak zaczęli Węgrzy wdzierać się w dobra śląskiej komory książęcej, położone na lewym brzegu tej rzeki, gdy zaś książęta cieszyńscy w XIV w. zaczęli się upominać o krzywdy i gwałty węgierskie, sąd polubowny w r. 1417 wydał

wyrok, ustalający granicę między Śląskiem a Węgrami, mianowicie rzekę Kisucę i lewobrzeżny jej dopływ Czacę (dziś potok Oszczadnicki). Lecz wbrew temu wyrokowi Węgrzy nie zaprzestali gwałcić dalej granicy i wycinać lasy na terytoryum Śląska, bez względu na nowe wyroki sądów granicznych, które stale przyznawały książętom śląskim granicę z r. 1417. Wśród ciągłych sporów granicznych, trwających prawie lat 400, Węgrzy posunęli granicę aż po przełęcz Jabłonkowską i utrzymali ją bezprawnie do ostatnich czasów. Lecz jeszcze na mapach Śląska z drugiej połowy XVIII, a nawet z początków XIX w. (np. Wielanda 1736 i 1800 r., Hasego 1746 r., Zannoniego 1772 roku), granica Śląska cieszyńskiego wykreślona jest tak, jak ją ustalił wyrok z r. 1417, a obszar zajęty przez Węgrów oznaczony jest jako *districtus revindicandus*. Polskie po dziś dzień osady w okręgu czadeckim leżą na tych mapach po stronie śląskiej. Nietylko więc etnograficznie, ale i historycznie należy ten okręg do Śląska, a więc i do Polski. Domagając się przyłączenia Śląska do państwa polskiego, nie możemy zapominać o okręgu czadeckim, który stanowił zawsze integralną część tego kraju i został odeń dopiero stosunkowo niedawno bezprawnie gwałtem oderwany.

2. Niemal współcześnie uderzyła fala ekspansyi węgierskiej w Orawę, spychając granice polskie w tej ziemi z nad Wagu po brzegi Białej Orawy i Orawicy. Położony u spływu tych rzek Twardoszyn już w połowie XIII w. należał do Węgier i stanowił osadę pograniczną, w której Węgrzy wybierali cło od towarów, tzw. trzydziestą. Komora celna pozostała tam i później, gdy granice węgiersko-polskie cofnęły się bardziej jeszcze na północ.

Między doliną Białej Orawy i Orawicy, stanowiących tu przez szereg wieków granicę południową Polski, a grzbietem Beskidu aż po Babią Górę, zalegała głucha puszcza, która należała w swej zachodniej części do księstwa oświęcimsko-zatorskiego, we wschodniej zaś do ziemi krakowskiej (Nowotarszczyzny). Z tych to ziem polskich wyszedł prąd osadniczy, który zaludnił Orawę. Stało się to prawdopodobnie dopiero w ciągu wieku XV i XVI tj. w czasie, kiedy nietylko należąca do Polski górna Orawa, ale i dolna, węgierska, była w rękach polskich. Trzeba bowiem nadmienić, że królowie węgierscy, licząc się niewątpliwie z wybitną polskością Orawy, powierzali zarząd żupaństwa panom polskim, czyniąc tam

na ich rzecz liczne nadania. Tak już z końcem XIV w. trzymał dolną Orawę z ramienia węgierskiego Władysław ks. Opolski, po nim rycerz polski Ścibor ze Ściborzyc, który, pozyskawszy sobie przyjaźń króla Zygmunta Luksemburskiego, wyrósł na pierwszego magnata węgierskiego i dla licznych posiadłości na Orawie, w Liptowie i w Trenczyńskiem, zwany był „panem całego Wagu". Władysław Warneńczyk, zasiadłszy na tronie węgierskim, oddał Orawę i Liptów w zarząd Komorowskim, którzy stąd przyjęli nawet tytuł hrabiów na Orawie i Liptowie. Po nich w XVI w. rezydowali na Zamkach orawskich Kostkowie-Siedleccy, następnie Dubowscy, także Polacy i dopiero w drugiej połowie XVI w. przeszła od nich Orawa na węgierską rodzinę magnacką Turzonów, a później w XVII w. do Tökölych. Przeszła w ręce węgierskie niestety cała Orawa, nietylko dolna, ale i rdzennie polska — górna jej część, gdyż w czasie dwuwiekowego pozostawania pod zarządem panów polskich obie te części zrosły się nierozdzielnie. Tym sposobem Węgrzy dokonali grabieży obszarów odwiecznie polskich i zasiedlonych przez lud rdzennie polski, przesuwając granicę po główny grzbiet Beskidu. Ale jeszcze na starych mapach z XVI i XVII w. górna Orawa zaliczana jest do Polski aż po Twardoszyn, który jest na nich miastem pogranicznem.

3. Dalej na wschód potężna ściana Tatr stanowiła zaporę dla erozyi osadniczej i ekspansyi politycznej węgierskiej, osłaniając przed wdarciem się Węgrów położony poza Tatrami słup ziemi polskiej (Nowotarszczyzna), który też dzięki temu pozostał przy Polsce [1]). Tatrom więc zawdzięczać trzeba ocalenie tego cudownego zakątka ziem polskich, który tworzy tu naturalny pomost między Polską a tą perłą gór naszych. Lecz już tam, gdzie ta zapora ku wschodowi się kończyła, fala naporu węgierskiego wdarła się znów w granice nasze, tworząc w nich wyłom aż po najbliższą silniejszą naturalną przeszkodę, jaką stanowił Dunajec. Ten wyłom to obszar dzisiejszego Spisza [2]).

---

[1]) Przypomina nam to znane zjawisko geologiczne, gdzie pokrywa twardszej skały chroni przed erozyą słup miększego materyału, pod nią leżący, tworząc t. zw. w Tatrach kominy.

[2]) Trzeba zwrócić uwagę, że jedynie uzasadnioną jest pisownia Spisz, nie Spiż. Zarówno w dawnych książkach, jak i po dziś dzień w ustach tamtejszego ludu, kraina ta zowie się Spiszem, a lud mieni się Spiszakami. Błędna pisownia przez „ż" jest sztuczną, niczem nieuzasadnioną zmianą, dokonaną pod wpływem pisowni spiżu, znanego aliażu metalowego.

Pierwotny Spisz leżał — jak wyżej wspomniano — w dorzeczu górnego Hornadu i stanowił przynależność grodu spiskiego, jednej z polskich warowni pogranicznych z czasów, gdy Hornadem biegła nasza granica południowa. Natomiast całe porzecze Popradu, na który rozciągnięto później dopiero nazwę Spisza, należało pierwotnie do ziemi sądeckiej i objęte zostało zasiedleniem plemienia Wiślan, które posuwało się w górę dopływami Wisły, zajmując całe górne zlewisko tej rzeki.

Spisz właściwy (tj. kraj nad Hornadem) utraciła Polska za Bolesława Krzywoustego, który go dał w posagu córce swej, zaślubionej królewiczowi węgierskiemu. Węgrzy, dostawszy tę ziemię w swoje ręce, rozpoczęli zaraz kolonizacyę odwiecznej puszczy po obu brzegach Hornadu. Już w połowie XII w. sprowadzili kolonistów niemieckich (Sasów), którzy, trzebiąc lasy i rozszerzając tą drogą terytoryalne pojęcie Spisza, założyli tu z czasem 24 miast, tworzących autonomiczną prowincyę saską pod władzą wybieralnego hrabiego spiskiego, rezydującego w Lewoczy. Równocześnie królowie węgierscy zaczęli czynić nadania na rzecz swych panów i rycerzy w sąsiadujących ze Spiszem lesistych obszarach nad Popradem, wdzierając się w terytorya, położone w sferze własności polskiej. Tym sposobem w ciągu XIII w., tj. w tymsamym czasie, w którym dokonał się zabór Czadeckiego i Orawy, zagarnęli Węgrzy i skolonizowali, częściowo niemieckimi osadnikami, częściowo zaś miejscowym żywiołem polskim, całe porzecze górnego Popradu, aż po Białkę i Dunajec. Najdłużej utrzymał się przy Polsce wąski pas ziemi sądeckiej w okolicy silnej warowni polskiej Lubowli, ale i tę ostatnią placówkę utraciła Polska w pocz. XIV w. na rzecz Węgier.

Tak tedy drogą powolnej kolonizacyi, świetnie, przyznać trzeba, przeprowadzonej i zorganizowanej, zdołali Węgrzy zabrać Polsce cały ten zakątek kraju i wcielić go do swego Spisza. Śladem tego osadnictwa posunęły się w głąb odwiecznych ziem naszych granice polityczne Węgier. Polska, osłabiona rozbiciem dzielnicowem, nie mogła bronić swych kresów południowych. Stanął w ich obronie jedynie Kościół polski. Terytoryum bowiem zabrane przez Węgrów należało pierwotnie do dyecezyi krakowskiej, tymczasem w miarę wdzierania się Węgrów zaczął występować z pretensyami do niego arcybiskup ostrzyhomski. Otóż biskup krakowski, broniąc swych praw, zaniósł jeszcze w początkach XIII w.

skargę do Rzymu o naruszenie granic swej dyecezyi. Spór kościelny toczył się 100 lat, w czasie których Węgrzy prowadzili dalej swoje zabory; ostatecznie wyrokiem sądu papieskiego z roku 1326 przyznany został biskupstwu krakowskiemu ów pas „Sądeczyzny“ (wyraźnie tak nazwany), obejmujący Lubowlę, Gniazda i Podoliniec, mimo, że politycznie nie należał już do Polski.

Był to czas, w którym Polska dźwignięta z upadku i niemocy dzielną dłonią Łokietka, zaczęła znowu zrastać się i odradzać. Zrazu wątła jeszcze i bezsilna wobec otaczających ją potęg, osiągnęła wprawdzie zjednoczenie macierzystych dzielnic, ale niestety kosztem swych kresów, równocześnie bowiem utraciła na północy Pomorze, na zachodzie Śląsk, a na południu Spisz.

Nie zapomniała jednak Polska o kresach, tylko odzyskanie ich odłożyć musiała na później, do sposobniejszej chwili. Co do Spisza, to zasługa odzyskania go przypada Jagielle.

Godnym uwagi jest fakt, że Jagiełło, podjąwszy walkę o Pomorze, zwycięstwem grunwaldzkiem wywalczył Spisz. Oto bowiem za część kontrybucyi nałożonej na Krzyżaków, mianowicie za 37.000 kóp groszy praskich, wykupił Jagiełło w roku 1412 z rąk króla węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego 16 miast spiskich w formie zastawu. Objęcie Spisza w zastaw przedstawia się tedy jako jeden z przejawów planowej akcyi Polski do odzyskania kresów, tej samej akcyi, która w pół wieku później doprowadziła do rewindykacyi Pomorza i nie ustawała w usiłowaniach do odzyskania Śląska, choćby drogą cząstkowego wykupna. Nie mogła Polska odebrać odrazu całego Spisza na pełną własność, więc brała przynajmniej część jego w posiadanie zastawne. Pożyczając Węgrom ogromną, jak na owe czasy, sumę, czyniła to widocznie w nadziei, że Węgrzy, którzy byli w ciągłych kłopotach pieniężnych, nie rychło, a może i nigdy, nie zdobędą się na spłatę długu. Węgrzy znów liczyli na to, że bez zwrotu pożyczonej sumy, drogą dyplomatyczną, łatwo odzyskają miasta spiskie; czynił też w tym kierunku zabiegi jeszcze sam Zygmunt Luksemburski, czynili po śmierci tego króla jego następcy. Lecz Polacy nie dali sobie wyłudzić drogo okupionego kraju i stali na zasadzie umowy, że tylko za zwrotem całej sumy dłużnej Spisz mógłby być zwrócony. Węgrzy wszakże, nie mając pieniędzy, zwlekali z wykupem zastawu i dopiero w r. 1489 król węgierski Maciej Korwin objawił zamiar wykupu Spisza. W tym celu wyprawił poselstwo do króla Kazi-

mierza Jagiellończyka, proponując wykup i grożąc, że w razie niedopełnienia ze strony polskiej warunku, tj. w razie wzbraniania się zwrotu Spisza, siłą go zajmie. Snać z góry przewidywał odmowę — istotnie też otrzymał odpowiedź, że Polacy uważają zastaw za przedawniony, a Spisz, z którego wykupem Węgrzy tak długo zwlekali, przypadł na własność Polsce. Wówczas król Maciej, nie mogąc spełnić swej groźby z powodu, że Polska wzmocniła swój sojusz z Czechami, wytoczył sprawę przed papieżem, który zaproponował obu stronom rozstrzygnięcie sporu o Spisz przez sąd rozjemczy, złożony z mężów światłych i poważnych, a wyznaczonych po czterech przez obie strony. Sąd taki istotnie zebrał się niebawem we Wrocławiu, gdzie wydał wyrok, uznający przedawnienie i przysądzający zamki i miasta spiskie Polsce na pełną i wieczystą własność. Węgrzy zrazu widocznie poddali się wyrokowi, bo przez przeciąg lat 63, więc czas, wystarczający już sam przez się do spowodowania przedawnienia, nie upominali się o zwrot Spisza. Dopiero w r. 1553 przypomnieli sobie sprawę zastawu i sejm węgierski wydał dekret, domagający się wykupu Spisza. Odtąd przez dwa przeszło wieki co drugi niemal sejm węgierski ponawiał tę uchwałę, Polska jednak stale odmawiała, przeciwstawiając pretensyom węgierskim swe prawo przedawnienia.

Tymczasem zaś Spisz tak silnie zrósł się już z Polską, że utworzył z nią jedną spoistą całość, nietylko polityczną, ale też gospodarczą i kulturalną. Mieszkańcy Spisza bez względu na narodowość byli tak szczerze do Polski przywiązani, że Niemcy spiscy zasłużyli na miano *die getreuesten Unterthanen der Kron Pohlen*. Rzeczpospolita otaczała ich też troskliwą opieką i broniła przeciw gwałtom węgierskim. Z Polską wiązały miasta spiskie ożywione stosunki handlowe, a kultura polska przeniknęła na wskróś tę krainę, wyciskając swe wyraźne piętno na języku, charakterze i umysłowości ludu spiskiego, z którego wiele jednostek szukało światła wiedzy w Wszechnicy Jagiellońskiej, jak z drugiej strony Polacy z odległych stron zjeżdżali do słynnego kollegium pijarskiego w Podolińcu, założonego przez Lubomirskich, którzy z górą 150 lat sprawowali urząd starostów spiskich. Przejawia się też wpływ kultury polskiej na zewnątrz w architekturze zamków i pałaców, domów i kościołów, tak w miastach jak i we wsiach spiskich i to nietylko tych, które należały do Polski, ale i sąsiednich, które — jak Lewocza lub Kieżmark — pozostały przy Węgrzech. Lewoczę

np. nazywano Krakowem spiskim; polscy budowniczowie i artyści stawiali i ozdabiali tam gmachy w stylu o cechach polskich. Jednem słowem Spisz utworzył z Polską jedną nierozerwalną — zdawało się — całość! Tymczasem na ten związek dokonała zamachu Austrya w r. 1769, zajmując Spisz w zdradziecki sposób.

Pomysł zajęcia Spisza przez Austryę wylęgł się w głowie właściwego inicyatora rozbioru Polski, Fryderyka II. Gdy w r. 1768 wybuchła wojna Rosyi z Turcyą, a Austrya, zaniepokojona sukcesami Rosyi w Mołdawii i Wołoszczyźnie, rozpoczęła zbrojenia, Fryderyk II wpadł na pomysł pogodzenia sprzecznych interesów mocarstw i zażegnania wojny europejskiej kosztem Polski. Plan rozbioru, kryjący się pod skromną nazwą „projektu hr. Lynara", ofiarowywał Austryi prócz Lwowa i żup wielickich zwrot starostwa spiskiego.

Niemal równocześnie, w lutym r. 1769, przystąpił rząd austryacki do zaciągnięcia na granicy Polski i Turcyi kordonu wojskowego, a to pod pozorem zabezpieczenia przed zawleczeniem zarazy, która wówczas w Polsce grasowała, oraz przed naruszeniem granic ze strony konfederatów barskich, którzy wtedy mieli siedzibę w Preszowie na Węgrzech. Tam, gdzie granice były niepewne, ustawiano orły cesarskie; gdziekolwiek zaś zachodziła wątpliwość co do tytułu własności, przesuwano słupy graniczne daleko w głąb spornych terytoryów.

Przedewszystkiem zaś zajęto Spisz polski. Okupował go korpus gen. Esterhazego, a pułkownik gen. sztabu baron v. Seeger otrzymał polecenie oznaczenia granic orłami oraz zdjęcia dokładnych map Spisza. Wyszedł na jaw właściwy cel tej akcyi, upozorowany jedynie względami na zarazę. Kanclerzowi Kaunitzowi szło przedewszystkiem o to, aby — jak się wyraził — „wykonać *actum possessorium* królewskiej węgierskiej terytoryalnej zwierzchności w zastawionym Koronie polskiej dystrykcie spiskim". W rzeczywistości był to tylko pretekst do wykonania grabieży na osłabionej i niezdolnej do obrony Polski. Dla zachowania jednak pozorów prawnych kazał rząd austryacki ogłosić we wszystkich miastach spiskich deklaracyę, że „osadzenie cesarskich orłów na granicach zastawnego dystryktu spiskiego w niczem nie uwłacza prawom zastawnym Korony polskiej". Tę deklaracyę zakomunikowano równocześnie posłom austryackim na obcych dworach.

Tymczasem Seeger sporządził mapę starostwa lubowelskiego

i 13 miast spiskich, zagarniając możliwie najwięcej obszaru dla Węgier kosztem ziem polskich, a dodany mu do pomocy jako komisarz graniczny radca nadworny Török otrzymał polecenie zbadania archiwów węgierskich publicznych i prywatnych, celem zebrania dowodów historycznych, uzasadniających prawa węgierskie do spornych terytoryów. Na podstawie ich relacyi posunięto kordon wojskowy w głąb Małopolski i zajęto Nowotarszczyznę i Sądeczyznę.

Król Stanisław August i kanclerz koronny biskup Młodziejowski zaprotestowali listownie przeciw bezprawnej grabieży i zażądali usunięcia orłów cesarskich z obszarów polskich; otrzymali jednak od Kaunitza odpowiedź, że Austrya była zmuszona zabezpieczyć swoje obszary przed naruszeniem, przesunięcie zaś orłów nie było aktem bezprawnym. Cesarzowa — dodawał — jest zdecydowana prawa swoje utrzymać, jakkolwiek daleką jest od tego, aby przywłaszczyć sobie cudze ziemie, będzie też gotowa z królem i Rzecząpospolitą w odpowiednim czasie i stosownie do okoliczności się układać. Polska będzie wówczas miała prawo wykazać, że zajęte dystrykty do niej należą.

Polska nie przestała jednak protestować. Kanclerz Młodziejowski nie wahał się nazwać zajęcia polskich obszarów po imieniu, król zaś pisał ponownie do cesarzowej, starając się wpłynąć na jej sumienie. Sam Kaunitz zaczął się wahać i w liście do Maryi Teresy zauważył, że „po tem, co go dochodzi zewsząd o wartości tytułów prawnych, zaczyna ku wielkiemu ubolewaniu obawiać się, że ten człowiek (tj. kanclerz Młodziejowski) słusznie nazwał zaborem nasze przedsięwzięcie". Marya Teresa dopisała na marginesie listu Kaunitza znamienną uwagę: *J'ai très mince opinion de nos titres* (mam bardzo mizerne pojęcie o naszych tytułach). Kaunitz, wątpiąc w możność utrzymania Nowotarszczyzny i Sądeczyzny, chciał przynajmniej uratować Spisz. Parł do tego sam cesarz Józef. Aby stworzyć silny prejudykat, Korona węgierska ogłosiła z początkiem grudnia 1770 r. objęcie Spisza w posiadanie i zarząd, a Török, jako zarządca okupowanego kraju, przyjął tytuł *administrator provinciae recuperatae.* W odpowiedzi na list królewski Marya Teresa wyraźnie podkreśliła różnicę między Spiszem a resztą zajętych ziem. Co do tych ostatnich zapewniała, że „skoro zostanie przywrócony pokój między Turcyą a Rosyą, a zaburzenia wewnętrzne w Polsce ustaną, przychyli się jak najchętniej do po-

jednawczego rozpoznania granic Rzpltej z jej Królestwem węgierskiem i wówczas dałyby się oznaczyć dokładnie te oddawna wątpliwe i, jak powszechnie wiadomo, sporne granice". Lecz w sprawie Spisza oświadczała cesarzowa, że postanowiła „odzyskać w moc niewątpliwych swych praw i według warunków niegdyś ułożonych powiat spiski ze wszystkimi jego przynależytościami".

Sprawa Spisza była więc już przesądzona. W ślad za tym gwałtem poszły niebawem dalsze, jeszcze dotkliwsze. Dnia 5 sierpnia 1772 r. podpisana została konwencya rozbiorowa, na mocy której Austryi przypadła Galicya wraz ze Spiszem. W kilka tygodni później rozporządzeniem gabinetowem starostwo spiskie wcielono do krajów Korony węgierskiej, a mianowany pełnomocnym komisarzem do przejęcia Spisza hrabia Jan Csáky odebrał w imieniu cesarzowej hołd od miast spiskich i od mieszkańców starostwa lubowelskiego. Przeciw temu gwałtowi zaniósł kanclerz Młodziejowski jeszcze raz w r. 1773 uroczysty protest na ręce posła cesarskiego w Warszawie, ale otrzymał krótką odpowiedź, że „Spisz jest, jak był zawsze, własnością Korony węgierskiej".

Zajęcie Spisza przez Austryę stanowiło tedy pierwszy krok do spełnienia zbrodni międzynarodowej, jaką były rozbiory Polski, zbrodni, za którą słuszną karę ponoszą dziś wszyscy trzej jej uczestnicy. Zwycięstwo zasady sprawiedliwości w wojnie światowej ma Polsce zwrócić to, co jej przed półtora wiekiem gwałtem zabrano. Zwrot ten objąć powinien i Spisz, gdyż okupacya jego i zabór dokonane zostały bezprawnie. Okupacya Spisza przez Austryę była wedle zasad prawa międzynarodowego bezprawną i nie mógł z niej wyniknąć dla zaborcy żaden tytuł prawny, gdyż był to akt jednostronny, spełniony bez zgody i zezwolenia Polski i bez zawarcia z nią w tej mierze jakiegokolwiek układu. Zabór Spisza, dokonany bez zwrotu sumy zastawnej, przedstawia się więc jako gwałt, zwłaszcza wobec uroczystego protestu, jaki przeciw niemu zaniosła Polska przed forum Europy i historyi. Ten gwałt domaga się zadośćuczynienia. I dziś, gdy państwo, które go dokonało, rozpadło się w gruzy, przysługuje Polsce prawo do odzyskania Spisza, przynajmniej w granicach etnograficznych.

Równocześnie trzeba zaznaczyć z całym naciskiem, że Czesi, którzy prawem kaduka usadowili się teraz w polskich niegdyś

ziemiach zakarpackich, nie mogą nam przeciwstawić żadnych praw historycznych do Spisza, Orawy i Czadeckiego, gdyż nigdy te kraje do nich nie należały. Jedynie Polska ma prawo domagać się ich zwrotu nietylko na podstawie etnograficznej, ale i na podstawie swych najlepszych, nieprzedawnionych praw historycznych.

Władysław Semkowicz.

Kwestya rolna w Polsce.

Byłoby złudzeniem, zasłanianiem sobie oczu na twardą rzeczywistość twierdzić, iż kwestyę rolną wytworzyła u nas dopiero rewolucya bolszewicka w Rosyi, iż dopiero zaraźliwy podmuch, od Wschodu wiejący, przyniósł ją i zaszczepił sztucznie na polskiej, zdrowej glebie. Istniała ona w całej pełni przed wojną i czekała pilnie i niecierpliwie na swe załatwienie, narzucając się sama na porządek dzienny jedynemu ustawodawczemu organowi polskiemu, mogącemu się zabrać do jej rozwiązania, tj. Sejmowi galicyjskiemu. Ten jednak nie dorósł do jej poziomu i zaledwie w kilku kwestyach paru nieśmiałemi próbami o jej istnienie i podstawy zaczepił.

Polska kwestya rolna ma najbrutalniejszą, najpospolitszą formę. Koncentruje się w tem, że ludność rolnicza nie może się utrzymać z uprawy posiadanej ziemi i masowo emigruje, względnie umożliwia sobie istnienie przez zagraniczne sezonowe zarobki. Jest to stan, stwierdzający, iż esencyonalne zadanie państwa, przysporzenie szczęścia i dobrobytu obywatelom, nie jest zrealizowane. Jest objawem nędzy społeczeństwa. To też żadne państwo nie zniesie go na dłuższą metę, odbiera on mu bowiem racyę istnienia, pozbawia równego wzrostu z innemi tak pod względem ludności jak bogactwa, a więc deklasuje w gronie państw i narodów i narusza podstawy przyszłości. Wywołuje on zazwyczaj jako ratunek zwrócenie się danego państwa do polityki kolonialnej, jest źródłem aneksyjnych dążności. Typowym przykładem służą tu Włochy, jedyne państwo, którego emigracya przewyższała polską przed wojną. Objaw ten wywołał wojnę trypolitańską i jest podstawą nowoczesnego imperyalizmu włoskiego.

Polska, choćby chciała mieć swe miejsce na słońcu dostatków kolonialnych, zapóźno wchodzi w grono mocarstw europejskich, by mogła rościć sobie pretensye do rozdzielonego już i okupowanego globu ziemskiego. Gdyby nawet pretensye te podniosła i zostały one uwzględnione, wątpliwem jest, czy potrafiłaby przez długi czas opanować gospodarczo i populacyjnie owe kolonie, nie mając żadnej w tym kierunku wprawy ani doświadczenia, a posiadając cały nawał pierwszorzędnych kwestyi do załatwienia w kraju macierzystym.

Natomiast nasuwa się nam możność ekspansyi na Wschód. Ta jednak inne przedstawia widoki dla emigracyi, niż kolonie. Najlepsze grunta są tam już zajęte, w ogólności są już one okupowane w przeciwieństwie do stanu rzeczy w koloniach. Gęstość tubylczej ludności jest dostosowana do stanu cywilizacyjnego kraju i trzeba znacznych bardzo inwestycyi, szczególnie komunikacyjnych, by módz tam większą liczbę ludności osadzić. Ponadto względy polityczne przemawiają przeciw zbytniemu rozszerzaniu się na Wschód. Nietylko konieczność nieuniemożliwiania sobie drogi do porozumienia z Rosyą, ale i względy na niemożność obciążania się przy demokratycznym ustroju państwa nadmiarem ludności obcej i narodowością i wyznaniem, którą przez to nie będzie możliwem już nie zasymilować, lecz choćby przywiązać do kultury i państwowości polskiej, sprzeciwiają się temu. Nie myślimy przez to przeczyć znaczeniu posiadania wschodnich prowincyi dla rozwiązania kwestyi rolnej w Polsce. Ułatwi je ono znacznie, umożliwi łagodniejsze formy, lecz samo jej nie rozwiąże.

Wychodźtwo stałe i zarobkowe podnoszą skalę wynagrodzenia pracy w kraju, nie dopuszczają do zupełnego gospodarczego upadku ludności nieposiadającej, a więc proletaryatu miejskiego i wiejskiego bezrolnego, podnoszą zamożność tych warstw i kraju. Wytwarza to pewną szczególną sytuacyę gospodarczą, która łagodzi kwestyę robotniczą, a natomiast cały ciężar zagadnienia populacyjnego przerzuca na rolnictwo, stwarzając ten stan rzeczy, który nazywamy polską kwestyą rolną.

Ta bowiem nie polega wcale naogół na tem, że wielka własność posiada część ziemi za dużą w stosunku do małej własności. Wprawdzie udział wielkiej własności na ziemiach Polski wynosi 31—54% ogółu ziemi, lecz prywatnej wielkiej własności 19—45%, a udział wielkiej własności w ziemi ornej 22—46%. Mała własność

posiada poza wschodniemi kresami 56—78$^0/_0$ ornej ziemi. Stosunek to nie wiele gorszy, jak w innych krajach Europy.

Wystarczyłoby więc tylko sparcelować kilka procentów obszaru, by załatwić kwestyę rolną i dojść do poziomu zach. Europy. Zadaniu temu poradziłoby z pewnością w krótkim czasie samo życie, jak na to wskazują niezwykle silne postępy parcelacyi przed wojną w Kongresówce i w Galicyi. Nie potrzebaby zatem zajmować się tym problemem ustawowo. W dodatku kwestya rolna jest u nas właśnie tam najbardziej zaostrzoną, gdzie jest najsilniejszy procent ziemi w posiadaniu małej własności, np. w Galicyi, gdzie wynosi on 66$^0/_0$ ogólnej przestrzeni, a 78$^0/_0$ ornej ziemi i 84$^0/_0$ łąk. Nie tu zatem spoczywa punkt ciężkości polskiej kwestyi rolnej, choć i pod tym względem pewne przesunięcia są konieczne.

Brak silnego przemysłu, któryby dał ujście przyrostowi ludności, stanowi najważniejszy powód zaostrzenia się kwestyi rolnej. Unaocznia to fakt, że jest ona właśnie najostrzejszą w Galicyi, gdzie go brak było zupełnie, słabszą znacznie w Kongresówce, a najsłabszą w zaborze pruskim, gdzie ludność znajdowała łatwy odpływ do wielkiego przemysłu niemieckiego. Wywołuje to coraz większe drobnienie ziemi u małej własności. Dochodzi ono do tego stopnia, że szkodzi rozwojowi kultury rolnej, wpływa hamująco lub obniżająco na produkcyę. Nie mówiąc już o szachownicy, wązkości i rozrzuceniu działków, samo posiadanie za małej ilości ziemi odstrasza od oświaty zawodowej, bo nabycie jej więcej kosztuje, niż może ona przyczynić dochodu na małem gospodarstwie. Uniemożliwia też ono wogóle stosowanie całego szeregu ulepszeń i inwestycyi ze względów organizacyjno-gospodarczych lub technicznych. Niska produkcya gospodarstw tem bardziej powiększa minimum gruntu, koniecznie potrzebnego na utrzymanie rodziny.

Z drugiej strony wywołane przez brak przemysłu wychodźtwo, przedewszystkiem zarobkowe, oddaje w ręce ludności bezrolnej lub małorolnej, szczególniej wobec niskiego stanu jej potrzeb i kultury, znaczniejsze sumy. Nie może ona dla nich znaleźć zajęcia innego, prócz tego, które zna i lubi, którego się nie boi i które zresztą jedynie jej stoi otworem. Przed osiedlaniem się po miastach i miasteczkach, próbowaniem tam handlu i przemysłu wstrzymuje brak kwalifikacyi, późniejszy wiek, a nadewszystko małe pole zarobków i nizkość kulturalna tych miast i miasteczek.

Kto na tyle jest sprytniejszym, że wziąłby się do tego, woli zostać n. p. w Ameryce i tam próbować łatwiejszego szczęścia i wygodniejszego, pełnego życia. Kto wraca, ten z reguły nie ma możności pracy gdzieindziej poza rolnictwem.

Wytwarza to silny popyt za ziemią, zwyżkę jej ceny. Nie oddziaływując zaś na zwyżkę dochodu, stawia szereg większych gospodarstw w położenie przymusowe. Zmusza je do sprzedaży w razie poważniejszego zadłużenia, działów i t. p. Przed tą tendencyą mogą się ostać tylko jednostki, którym wysokość dochodu z ziemi jest dość obojętna, które łatwiej kryzys ten mogą przeczekać, a nawet przy nim na dłuższą metę gospodarować, licząc na dalszą zwyżkę ceny ziemi. O utrzymaniu się więc przy ziemi decyduje nie dzielność gospodarza, wysoka produkcya, kultura i umiejętność zawodowa, tylko siła kapitalistyczna. Nabyć może również tylko silny kapitalistycznie właściciel, albo też drobny rolnik.

Ginie zatem średnia własność. Topnieje przerażająco, jak śnieg wiosenny. I w tym to właśnie objawie, w tęm zagadnieniu koncentruje się jak w ognisku soczewki cała polska kwestya rolna.

Nie byłoby to klęską społeczną, gdyby pomijając inne jeszcze względy, ginęła ona na rzecz średniej i większej chłopskiej własności. Tymczasem tak nie jest. Rozmnaża się tylko drobna, mała, a przedewszystkiem karłowata parcelowa własność. Gospodarstwo chłopskie drobnieje w swych przeciętnych wymiarach. Topnieje również przez działy średnia i większa chłopska własność tam, gdzie była, a nowa się nie wytwarza. Wpływa na to prócz wyżej podanych powodów wciąż większe zapotrzebowanie ziemi, niż jej podaż, a nadewszystko wytworzona przez wychodźtwo drożyzna robotnika, drożyzna wielka bardzo w stosunku do rezultatów obecnej produkcyi rolnej.

W ten sposób utrzymuje się u góry, a nawet może i powiększa, własność latyfundyalna, u dołu zaś rozszerza się mrowie drobnej, coraz drobniejszej własności. Między niemi zaś wytwarza się coraz większa pustka, przepaść, brak ogniw pośrednich.

Pod względem socyalnym stan podobny jest nie do zniesienia. Wytwarza najdogodniejsze pole do rozwoju antagonizmów społecznych, do zazdrości, walki. Utrudnia niezmiernie postęp kulturalny i gospodarczy. Średnie ziemiańskie, większe i średnie chłopskie gospodarstwa stanowią zawsze ten czynnik, którego wpływ

jest miarodajnym dla stanu kulturalnego i produkcyjnego wsi polskiej. Wszelka demokratyczna kultura nie polega na niwelującej równości wszystkich, ani na obniżaniu się kulturalnem i przystosowywaniu do poziomu niższych warstw, lecz na tworzeniu i utrzymywaniu ciągłego wzajemnego przenikania między warstwami, na łatwości rozsiewania się zdobyczy i nabytków góry między szerokie masy za pomocą tysięcy kanalików, stadyów pośredniczących, na nie za wielkich różnicach między szczytami i dolinami cywilizacyi, a minimalnych między poszczególnemi szczeblami kultury. Wtedy wzajemne obcowanie i naśladownictwo, możność jednego i drugiego bez wielkiego trudu, są największym bodźcem cywilizacyjnym. To samo się tyczy i postępu gospodarczego. Szereg prób i inwestycyj jest możliwy tylko na większych jednostkach gospodarczych, wymaga wyższego wykształcenia, które się nie opłaca i jest nie do uzyskania na małem gospodarstwie. Celowość nowych sposobów musi być wypróbowana praktycznie przez jednostki interesowane, nie przez publiczne zakłady lub urzędników. Selekcya nasion i rozpłodowego inwentarza tu należy.

Większe gospodarstwo w ogólności, do pewnych naturalnie granic, czyni w rolnictwie pracę produkcyjniejszą, aczkolwiek produkcya jego absolutna może być mniejsza, niż mniejszego. Przy mniejszym nakładzie pracy można wyprodukować więcej dla wyżywienia ludności. To zaś jest dla gospodarstwa społecznego w normalnych warunkach najważniejszem, nie sama absolutna wielkość produkcyi. Produkcya zbożowa największą bywa u średniej i większej chłopskiej i średniej ziemiańskiej własności. Również i jakość inwentarza.

Ten cały szereg przewag wspomnianych form własności, który tu znacznie możnaby pomnożyć, kończy się, gdy przejdziemy pewne maximum, które da się jeszcze opanować przez jednostkę gospodarującą, mającą przy niem jeszcze możność indywidualizacyi, koncentracyi i dopilnowania nakładów kapitałowych. Z chwilą, gdy się je przejdzie, występują wszystkie braki wielkich przedsiębiorstw bez ich zalet. Te ostatnie giną, gdyż w rolnictwie masowa produkcya, połączona z koncentrowaniem nakładu kapitałowego, w krajach, w których przy danym stanie techniki już występuje prawo zmniejszającego się przychodu, nie daje bynajmniej coraz to większych wyników w miarę swego powiększania się. Gospodarowanie cudzą głową i cudzemi rękoma tam, gdzie ocena rezultatów wy-

maga dłuższego czasu, jak w rolnictwie, gdzie trzeba ciągłej indywidualizacyi w produkcyi i znacznych nakładów dla każdych zmian i nowości, zwykle daje liche rezultaty. Dowodem tego są też polskie latyfundya, które są ogólnie bardzo niedostatecznie zagospodarowane i produkcyjnie stoją bardzo nizko, nieraz na poziomie kategoryi najmniejszych chłopskich gospodarstw, a czasem jeszcze gorzej.

I otóż, jak widzieliśmy, rozwój naturalny idzie w kierunku niszczenia najbardziej społecznie i gospodarczo wartościowych gospodarstw, a wzmacniania najgorszych pod tym względem form.

Jak widzimy, drogą opisaną i rozpatrzoną przez nas kwestya populacyjna zmienia się w kwestyę rolną w najprzykrzejszej formie głodu ziemi. Brak możności dania ludności pracy wywołuje: 1) emigracyę, 2) drożyznę ziemi, 3) drożyznę robotnika rolnego, 4) znikanie średnich form własności i rozpadanie się jej na drobną i latyfundyalną, 5) rozdrabnianie się małej własności, 6) upadek produkcyi rolnej, 7) głód ziemi. Wszystkie te objawy wspierają i wywołują jeden drugi, komplikują się wzajemnie i zaostrzają. Razem stanowią klęskę społeczną. Czyż społeczeństwo może na to patrzeć obojętnie, z założonemi rękami?

Sprawa ta ma poza wszystkiem jeszcze i doniosłość narodową. Średnie formy gospodarcze są najbardziej politycznie i narodowo konserwatywnym elementem. Zasługi średniej szlachty polskiej w dziejach porozbiorowych są dobrze znane. Jej, jak i z niej rekrutującej się inteligencyi miejskiej zawdzięczamy utrzymanie uczuć i tradycyi narodowych w szerokich warstwach, przekazanie ich ludowi, utrzymanie i posuwanie kultury polskiej w walce z zaborcami. Dopiero w ostatnich czasach zaczęła być luzowaną przez nieliczne nasze mieszczaństwo i przez liczny, lecz nie uświadomiony lud wiejski i robotniczy. Natomiast nasi latyfundyalni karmazyni, dorobkiewicze i arystokracya zawsze skłonni byli do kompromisu, do kierowania się przedewszystkiem interesem stanowo-klasowym, będąc skrępowani posiadaniem znacznej ilości ziemi, w którą mógł zawsze ugodzić zaborca. Uwydatniło się to, i to bardzo przykro, także i podczas obecnej wojny wszechświatowej, szczególniej w Galicyi, budząc powszechne rozgoryczenie i oburzenie, wnosząc nową pointę do kwestyi rolnej — polityczną.

Także i pod względem ogólno-kulturalnym nie jest obojętnym fakt znacznej przewagi wśród własności rolnej najniższej i najwyż-

szej formy. Pierwsza stanowi o ubóstwie kultury, druga zaś o jej specyalnie ziemiańsko-arystokratycznym charakterze. Znaczy to, że lenistwo, ociężałość, pewne sobkostwo, zacofanie, skłonność do kosmopolityzmu będą cechami kulturalnemi narodu.

Doskonale odczuł i ujął tę sprawę J. Słowacki w liście do T. Januszewskiego z lutego 1849 r., pisząc: „Ziemie obszerne robią Cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi ani o naród Twój... Kawałek ziemi miej... nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica“...

Zmienia się ta atmosfera, gdy własność ziemską reprezentują pracujący, zadowoleni średni gospodarze i gdy w najbogatszych kołach społeczeństwa przewagę mają przedstawiciele przemysłu i handlu, ludzie, którzy nie zatracili związku z życiem pracy i realnych interesów. Tylko w takiem społeczeństwie mogą się rozwijać kult pracy, radość życia wytężonego, rozmach twórczy.

Te znowu względy nakazują społeczeństwu głęboko się zastanowić nad kwestyą wielkiej własności ziemskiej nawet wtedy, gdy byt jej nie jest tak ściśle związany z kwestyą rolną, jak w Polsce, gdy tylko udział jej w posiadaniu ziemi jest za duży. Trzeba pamiętać, że przez zmniejszenie go zwiększa się podaż wielkiego kapitału dla przemysłu, handlu i wielkich społecznych inwestycyi.

Jakaż droga do naprawy tych nienormalnych stosunków? Najradykalniejszą byłoby usunięcie przyczyny ich, a więc znalezienie upustu dla ludności. Nie mogłyby nim się stać odrazu nietylko przemysł i kresy wschodnie, lecz nawet kolonie.

Cały szereg autorów, zajmujących się tak żywotną obecnie kwestyą rolną w Polsce (Wł. Grabski, M. Kiniorski, J. Mikułowski-Pomorski, J. Lutosławski, Wł. Glinka, J. Hupka, J. Turnau i w. in.), za środek rozwiązania widzi podniesienie produkcyi rolnej przez reformę i zniesienie wszelkich czynników, postępowi jej przeszkadzających, a rozwinięcie jej sprzyjających; należą tu komasacya, oświata zawodowa, melioracye i t. d. I tu również trzeba długo czekać rezultatów; zupełnego zresztą rozwiązania problemu nie sposób tą drogą znaleźć.

Tymczasem problem istnieje i domaga się nagląco rozwiązania. Sposób postawienia tego ostatniego zależy jednak jeszcze od rozstrzygnięcia jednego wstępnego pytania. Mianowicie w razie, gdyby owa zasadnicza przyczyna kwestyi rolnej, przeludnienie, przez

nagły i gwałtowny rozwój przemysłu lub podniesienie produkcyi została usunięta, czy wówczas ustrój rolny potrafiłby się sam samoczynnie naprawić, czy też pozostawałby w dalszym ciągu w dotychczasowym stanie? Czy tendencye jego nie zmieniłyby się? Od odpowiedzi na to pytanie zależy kierunek reformy agrarnej, czy ma ona poprawić tylko stosunki w okresie przejściowym, czy też ma zaprowadzić w zupełności pożądany, idealny ustrój i wprowadzić środki, uniemożliwiające jego pogorszenie się, zmianę.

Odpowiedź wypada pośrednio. Bezwątpienia podniesienie produkcyi rolnej i wytworzenie dla przyrostu i nadwyżki ludności ujścia w przemyśle i handlu wstrzymałoby dalsze drobnienie małej własności i rozpadanie się obecnie średniej. Natomiast nie potrafiłoby wytworzyć większej chłopskiej i średniej ziemiańskiej w miejsce tej, która już zniknęła, nie potrafiłoby zmniejszyć za dużego udziału, przewagi formy latyfundyalnej w większej własności tam, gdzie ona istnieje.

Wskutek tego reforma rolna musi mieć dwa cele na oku:

1. Zaspokoić chwilowy głód ziemi i skierować go od rozbijania średnich form własności, do czego naturalne jego tendencye zmierzają, na własność latyfundyalną, a nadto zabezpieczyć sobie stałe instytucye, któreby w powyższy sposób działały, a więc dawały ochronę średniej własności i miały możność zwracać ruch parcelacyjny ku latyfundyom.

2. Przy stosowaniu powyższych środków mieć na oku przedewszystkiem wytworzenie brakujących form gospodarczych w naszym ustroju rolnym, a więc naprawić te rany, które mu obecny naturalny, a raczej dziki rozwój zadał, tj. odnowić średnią własność kosztem wielkiej.

Wszyscy zgadzają się, że należy w tym celu rozwiązać powiernictwa, rozparcelować dobra donacyjne i t. zw. majorackie w Kongresówce oraz ziemie komisyi kolonizacyjnej i przez nią rozkolonizowane w zaborze pruskim, ograniczyć własność martwej ręki. Własność państwową byłoby wskazanem raczej wydzierżawiać, dzieląc ją na średnie gospodarstwa typu brakującego w danej okolicy.

Część idzie dalej. Żąda się ustanowienia maximum własności. W ten sposób zapobiegnie się tworzeniu nowych jednostek wielkiej własności, przewyższających oznaczoną granicę. Lecz jak zmniejszyć istniejące już jednostki własnościowe, przekraczające tę gra-

nicę? Projektuje się nadwyżki ponad owo ustawowe maximum wywłaszczyć za zapłatą, o ile stanowią ziemie uprawne — rozparcelować, o ile lasy — upaństwowić.

O kwestyę wywłaszczenia toczy się zażarta walka. Wobec jasnego i wykonywanego już prawa państwa rozporządzania prywatną własnością, o ile chodzi o dobro ogółu, dyskusya to jałowa. Już św. Tomasz z Akwinu usankcyonował pośrednio tę zasadę. (Summa Theologica, I-a, II-ae, quaestio 105, art. 2 ad 3), powołując się przytem jeszcze na Arystotelesa. Odnośnie do reformy rolnej stosowaną jest ona już w Anglii, Australii i Rumunii. Inna rzecz, czy jest ona, szczególniej w mało wyrobionych i dojrzałych społeczeństwach, jak u nas, tembardziej w obecnych czasach, pożądaną. To też byłoby wskazanem znaleźć na jej miejsce jaki inny, równie skuteczny środek.

Również gorącą dyskusyę wywołuje wysokość maximum własności. Wnioski Polskiego Stronnictwa ludowego chcą je oznaczyć na 100 do 300 morgów. Jest to niezdawanie sobie sprawy, czego się żąda. Byłoby to zniszczeniem średniej ziemiańskiej własności, co nie jest bynajmniej pożądanem ze względów wyżej już poruszonych. Lecz co więcej, rzuciłoby do parcelacyi szaloną masę ziemi, mianowicie około 20.000 gospodarstw o obszarze do 10 mil. hektarów. Państwo nie byłoby wprost w stanie takiego olbrzymiego przedsięwzięcia opanować. Musiałoby ono się zatem toczyć powoli i długo. Wymagałoby szalonych inwestycyi pieniężnych w budynki i urządzenia gospodarstw. Odciągnęłoby wszelkie drobne kapitały od wszelkich innych zużytkowań, zaabsorbowałoby cały kredyt państwa. Można więc powiedzieć, że byłoby ono formalną rewolucyą, połączoną ze znacznem zubożeniem kraju i to na dłuższy okres czasu. A co przedewszystkiem, odciągnęłoby ludność od przemysłu, uniemożliwiło jedyne właściwe i zasadnicze rozwiązanie kwestyi, oraz niesłychanie i na długi czas obniżyło produkcyę rolną. W krótkim zatem czasie przeludnienie znowuby wystąpiło, ale wtedy nie byłoby już czem go zaspokoić. W dodatku, będąc niewykonalnem, skieruje ono swe ostrze właśnie przedewszystkiem przeciw średniej własności, która sama w obecnych warunkach będzie się prosić o wywłaszczenie. Natomiast ustanie wpół drogi wobec swego ogromu, nim dojdzie do jedynie uzasadnionego celu, tj. parcelacyi latyfundyów. W ten sposób tylko pogorszy ustrój rolny, zamiast go naprawić.

Jest zresztą wprost nielogicznem ustanawiać tak niskie maximum, gdy trzeba dać sobie radę najprzód z wyższem. Chyba, że chodzi nie o prawdziwą reformę, tylko o papierową, o teatralny efekt.

Projekt prof. Bujaka [1]) stawia wcale racyonalne maximum 500 hektarów ziemi uprawnej, a 1500 ha. lasu. Jest to obszar, który daje jeszcze pole do stosowania wyższego wykształcenia, do koncentracyi nakładów, a zarazem daje się opanować indywidualną pracą kierowniczą.

Lecz właśnie w stosowaniu wywłaszczenia i maximum własności, zachodzi kwestya zasadnicza. Czy wywłaszczenie ponad maximum ma obowiązkowo wszystkich objąć i być w całości przeprowadzone? Czy też państwo ma mieć tylko możność przeprowadzenia go tam, gdzie będzie potrzebne?

Kwestyę tę rozstrzygają, zdaniem naszem, w zupełności wywody, wyżej wyłuszczone, a tyczące się rozwoju stosunków rolnych. Oświadczamy się stanowczo przeciw pierwszej ewentualności.

Z naciskiem znowu zaznaczamy, że wszelka reforma rolna będzie tylko chwilowym paljatywem, pogarszającym nawet na przyszłość sytuacyę, o ile stan gospodarczy kraju nie będzie taki, że rozwiąże sam kwestyę ludnościową. To może uczynić tylko przemysł. Otóż przeprowadzenie reformy rolnej musi trwać dłuższy czas; według projektów prof. Bujaka ciągnąćby się miało przez okres jednego pokolenia, a więc koło 25 lat. Bardzo prawdopobnem jest, a w każdym razie niewykluczonem n. p. w razie uspokojenia się Rosyi, że przemysł nasz tak się ruszy, iż pochłonie całą nadwyżkę ludności. Wówczas forsowanie w dalszym ciągu nadziału gruntem byłoby karygodnem odciąganiem robotnika od przemysłu, zmniejszaniem zdolności konkurencyjnej naszego przemysłu, połączonem może nawet ze stałą utratą możności jego ekspansyi. Albo też uczyniłoby państwo właścicielem wielkich obszarów, z któremi nie umiałoby sobie poradzić, zmuszone do własnej gospodarki.

Następnie trzeba sobie uprzytomnić, że rozparcelowanie w ciągu 25 lat, jak chce prof. Bujak, aż koło 5 mil. ha ziemi, bo tyle wówczas trzebaby wywłaszczyć, nie jest taką bagatelą. Trze-

---

[1]) „O podziale ziemi", Kraków 1918; „O naprawie ustroju rolnego w Polsce", Kraków 1919.

baby rocznie parcelować koło 200.000 ha ziemi. Przyjmując obecną cenę ziemi koło 10.000 K za 1 ha, dość ogólną, daje to około 2 miliardy K rocznie. Każdy znawca przyzna, że przeciętna parcelacya trwa najmniej 3--6 lat. Wobec tego zapas ziemi, będący stale w ręku państwa w trakcie parcelacyi, będzie wynosił koło 4-ro krotnej ilości rocznej sprzedaży ziemi, t. j. wymagał uwięzienia nakładu koło 8 miliardów koron. Do tego dodać należy jeszcze inwestycye przy podziale na mniejsze gospodarstwa, w trakcie będące, w kwocie conajmniej 2—3 miliardów K. Otrzymujemy więc stały wkład, niepokryty przez nabywców, koło 10—11 miliardów K Choćby zapłata sprzedawcom miała następować w formie obligacyi, to jednak oprocentowanie tej kwoty narazie ciążyłoby na państwie i dopiero później mogłoby je ono przenieść na kupujących. Lecz wypuszczanie co roku koło 2 miliardów K papierów państwowych, chociaż pośrednio opierających się na wartości ziemi, lecz aż do pełnej jej wartości, a więc wciągających dla swego zabezpieczenia także w grę ogólny kredyt i autorytet państwa, nie wydaje się nam możliwem bez większej szkody dla ogólnego zapotrzebowania kredytowego państwa, dla innych jego emisyj, szczególniej w państwie, które tego kredytu będzie w wydatnej mierze potrzebować.

Z tych wszystkich powodów należy reformę rolną uczynić bardziej elastyczną, dać państwu możność pójścia daleko, lecz nie nakładać na nie obowiązku i konieczności tak uczynić, choćby to było sprzecznem z interesem ogólnym, który się nie da przewidzieć. Należy dać państwu p r a w o pierwokupu, nawet ewentualnie wywłaszczenia, jeśli się to okaże koniecznem, lecz nie nakładać na nie obowiązku. Wywłaszczenie w razie wprowadzenia należałoby uczynić zawisłem od wykazania jego konieczności i pożytku, od zaistnienia pewnych przewidzianych warunków i od decyzyi specyalnych wyższych organów. Możnaby je zatem dopuścić np. tylko w powiatach, gdzie większa własność zajmuje więcej jak 25⁰/₀ obszaru, zgodnie z propozycyą Wł. Grabskiego z czasów rosyjskiego ruchu agrarnego.

Naturalnie parcelacya musi dążyć wyraźnie do utworzenia średnich form własności. Rozdział ziemi na trzy równe grupy, jedna gospodarstw małych 4—7 ha dla bezrolnych, druga dużych gospodarstw włościańskich koło 20 ha, a trzecia małych folwarków 50--150 ha, proponowany przez prof. Bujaka, jest ze wszech

miar wskazany. Nawet w niektórych okolicach należałoby tworzyć, zdaniem naszem, folwarki 200—400 ha.

Ale nie można się ograniczyć na powyższych reformach. Niemniej ważnem będzie takie uregulowanie obrotu ziemią, by dopuszczało i prywatną parcelacyę, lecz unormowaną, a nie utrzymywało cen ziemi na sztucznej wysokości, lub nawet je podbijało. Na nic się nie przyda prawo wywłaszczenia, jeśli je trzeba będzie wykonywać po cenach niezmiernie wygórowanych, bo wtedy ludność, o którą najwięcej chodzi, niezamożna nie będzie w stanie tej ziemi nabywać. Tymczasem bez kwestyi sam fakt wywłaszczania, wielkiego popytu na ziemię ze strony tak poważnego nabywcy, jak państwo, będzie cenę ziemi parł silnie do góry. Sztuczne normowanie ceny ziemi albo będzie nakładać olbrzymie ciężary na państwo przez dopłaty, albo też będzie wymagało udzielenia państwu monopolu parcelacyjnego, co byłoby ze wszech miar bardzo niepożądanem i skrupiłoby się w końcu na cenie ziemi dla włościan wskutek wysokich kosztów administracyjnych monopolistycznego państwowego zakładu, albo wreszcie będzie wymagało sztucznego ustanawiania niskiej ceny nabycia, przymusowej, coby się bezwarunkowo nie dało pogodzić z poczuciem prawnem społeczeństwa i było bezsprzecznie czynnikiem demoralizującym życie państwowe, stanowiąc niczem nieuzasadnioną konfiskatę części majątku pewnych jednostek. Z drugiej strony trzeba możliwie zabezpieczyć przed ponownem zniknięciem utworzone średnie gospodarstwa i to nie w sposób sztuczny za pomocą ustaw, które naturalnie byłyby obchodzone, lecz skierowując drogą naturalną popyt na ziemię na wielkie jednostki własności. Wreszcie byłoby wskazanem zapewnić sobie podaż gruntu ze strony wielkiej własności w sposób naturalny bez potrzeby wprowadzania do naszego ustawodawstwa przymusowego wywłaszczenia, jeśliby to tylko było możliwem.

Wprowadzone być mogą specyalne ograniczenia obrotu, progresywny podatek spadkowy, lecz właściwe osiągnięcie wyżej podniesionych celów, a razem z niemi i istotnych celów reformy agrarnej i warunków jej skuteczności, da się uzyskać jedynie przez większe obciążenie podatkowe wielkiej własności, nieproporcyonalne zmniejszenie w ten sposób jej dochodów z ziemi, zmuszające do pozbywania się tej ostatniej.

Możnaby w tym celu użyć podatku gruntowego i ustosun-

kować jego stopę nietylko do dochodu, lecz i do wielkości posiadanego obszaru. Mianowicie poza zwykłem obciążeniem całego rolnictwa na równi z innemi źródłami dochodu, lub trochę wyższem ze względu na stosunkowo większą łatwość przerzucania podatku na konsumenta, możnaby wprowadzić pewien dodatkowy ciężar dla tych kategoryi własności, które pragniemy postawić w gorszem położeniu gospodarczem w stosunku do innych. Podatek taki spełnićby miał rolę społecznego nacisku, zupełnie tutaj uzasadnioną. Wyrównywałby szanse średniej własności w walce współzawodniczej, równoważył wobec niej przewagę kapitałową latyfundyalnej. Właściwie należałoby uprzywilejować i średnią własność wobec małej, lecz tylko w obecnych stosunkach; w normalnych szanse konkurencyi się wyrównują, gdy specyalna zwyżka cen nie czyha na średnią własność.

Ową nadwyżkę obciążenia możnaby wprowadzić do systemu podatkowego przez wprowadzenie progresyi przy podatku gruntowym, ustosunkowaną do wielkości obszaru własności. Gdyby taka już istniała w systemie podatkowym ze względów ogólnej polityki skarbowej w stosunku do większych dochodów, to trzebaby obie te progresye z sobą skombinować. Z tych jednak względów przedstawia to znaczne trudności, komplikuje bardzo wymiar. Dlatego też podobne, istniejące już systemy, australijski, stanu Oklahoma A. P., nawet Rumunii nie wydają się nam wskazane. Prócz trudności technicznych mają to złe do siebie, że używają systemu podatków dochodowych do celu, który nic nie ma wspólnego z normalnemi kryteryami udziału jednostek w wydatkach państwa. Cel podatku staje się podwójny. Wywołuje to zamieszanie pojęć i wykrzywia poczucie prawne ludności, łatwo może spaczyć cały system podatkowy.

Najlepiej więc byłoby zostawić podatek gruntowy w cząstkowo-dochodowej, proporcyonalnej formie, wzorowanej na cedułowym systemie angielskim, a niezależnie od niego i od ewentualnego progresywnego ogólno-dochodowego podatku, wprowadzić dla wielkiej własności omawiane dodatkowe obciążenie, ustosunkowane do posiadanego obszaru za pomocą zupełnie osobnego podatku.

Najwłaściwszą formą takiego podatku byłaby majątkowa z progresyą, zależną jedynie od wysokości wartości ziemi. Należałoby określić wartość, odpowiadającą obszarowi

500 ha. przeciętnej ziemi i od tej kwoty rozpocząć progresyę wcale silną. W ten sposób uzyskałoby się odrazu kilka rezultatów.

Przedewszystkiem miałoby się prostą formę podatkową. Następnie poprawiłoby się w dużej mierze ową znaczną dowolność, którą reprezentowaćby musiało jednolite ustawowe maximum własności dla całej Polski, gdyż nacisk podatkowy działałby według wartościowego kryteryum i gdyby był dość silny, czyniłby zbytecznem przymusowe wywłaszczenie. Przy użyciu nadto zmiennej, zależnie od okoliczności, stopy, ustanawianej co pewien czas, choćby nawet np. corocznie, mógłby on zastąpić zupełnie wywłaszczenie. Jest zaś moralniejszym od tego ostatniego, gdyż zmuszałby wielką własność do intensywniejszej uprawy, uderzał z reguły w najgorzej gospodarowaną, a działał ogólnie w stosunku do całej pewnej grupy właścicieli, a nie przeciw pewnej jednostce, jak wywłaszczenie. Wreszcie w ten sposób wyrównywałaby się pewna niesprawiedliwość, pochodząca z obciążenia ziemi przez podatek gruntowy w stosunku do dochodu czy przychodu. Występuje ona ze specyalną siłą przy ziemi, gdzie wchodzi w grę zawsze indywidualność pracy kierowniczej. Dochodowa podstawa wymiaru odstręczać tu może nieraz od nakładów, intensywności gospodarki, aczkolwiek w znacznie mniejszym stopniu, niż przychodowa. Zastosowanie natomiast do normalnego podatku gruntowego formy majątkowej, nie mającej powyższych braków, byłoby chybionem i szkodliwem, gdyż w naszych stosunkach musiałoby się opierać na ocenie przychodów, a nie na wartości targowej. Gdyby się na tej ostatniej opierało, to podatek byłby właśnie czynnikiem rozbijającym małą i średnią własność. Natomiast forma majątkowa dodatkowego podatku dla wielkiej własności byłaby ze wszech miar wskazana, bo mogłaby się śmiało oprzeć na cenie targowej ziemi, zmuszałaby latyfundya do obejmowania wszystkich możliwie gruntów pod intensywną uprawę, ograniczałaby użycie ich zbytkowne, dla przyjemności, co właśnie jest ważnem przy tej kategoryi własności. Wreszcie przez umiejętną regulacyę stopy podatku możnaby tu z góry zapewnić sobie w dobrowolny sposób po pożądanej cenie tyle właśnie ziemi, ileby jej było potrzeba na kolonizacyę. Podaż jej byłaby elastyczną, uregulowana w stosunku do zapotrzebowania.

W ten sposób pomyślana reforma rolna obeszłaby się zupełnie bez wywłaszczenia, utrwalałaby średnie formy własności,

oraz stała w zależności od ogólnego rozwoju gospodarczego, będąc elastycznem, podatnem narzędziem dla umiejętnego kierownika państwowej polityki gospodarczo-rolnej.

Tylko skombinowanie maximum własności i prawa pierwokupu państwa z progresywnym podatkiem majątkowym dla wielkiej własności ziemskiej, niezależnym od gruntowego i ogólno-dochodowego, zagwarantować może zadowalniające i skuteczne przeprowadzenie naprawy naszego ustroju rolnego, rozwiązać korzystnie polską kwestyę rolną. Wywłaszczenie jest tylko efektownym, lecz w gruncie rzeczy mało skutecznym środkiem. Jest ono szerokim gestem, lecz obliczonym na krótką chwilę, paljatywem, który musi być połączony z całym szeregiem równie sztucznych jak on środków, sprowadzających nieznośną i przykrą ingerencyę państwa w szczegóły życia gospodarczego, naruszających równowagę społeczną. Jest ono Kronosem, zjadającym swe własne dzieci — przez zwyżkę cen. Więcej, a bez rewolucyi i wstrząsów dla całości życia gospodarczego, da się uzyskać przez podatek majątkowy od własności.

Nie można też pomijać uwagą i wstrząśnień w dziedzinie poczucia prawnego i moralności społecznej, wywoływanych przez wywłaszczenie. Można je ryzykować, jeśli się ono okazuje celowem i koniecznem. Jeśli jednak okazuje się, że więcej i pewniej można uzyskać inną drogą, to czemuż się przy niem upierać? Chyba, że chodzi nie o rzeczywistą reformę rolną, pomoc ludowi bezrolnemu i ulgę narodowi, lecz o papierowe efekty, choćby ze szkodą społeczeństwa połączone.

Kraków, 1. kwietnia 1919 r.

Edward Taylor.

Organizacya psychiczna Macieja Stryjkowskiego z uwzględnieniem tła epoki.

Każdy nowy, silny prąd życiowy zwykł się znamionować świeżemi, nieznanemi przedtem pierwiastkami. Sfera życia zostaje nietylko wstrząśniętą, lecz i wzbogaconą. Doznaje też pomnożenia, rozszerzenia i świat duszy ludzkiej. Myśl poczyna intensywniej pracować, wirując w kręgu nowych zagadnień, rzucanych przez falę dziejową na widownię życia, serce mocniejszem, żywszem tętnem odpowiadać na budzące się zjawiska i pojawiające fakty. W błysku nowych idei, w ogniu nieznanych dotąd uczuć i pragnień, w entuzyastycznym porywie ku nieznanemu rodzą się nowi ludzie, powstają nowe typy psychiczne.

Tak też było i w dobie t. zw. Renesansu. Potężny ruch odrodzeniowy, na ziemi włoskiej posiadający swą kolebkę, wywarł wielki i niezwykle doniosły wpływ na kulturę nietylko Włoch, lecz i całej Europy. Na twórczości duchowej społeczeństw najświatlejszych pozostawił ślady trwałe, niezatarte. Strącając z piedestału dotychczasowe bożyszcza, ducha ponurego średniowiecza w cień usuwając, wlewał w dusze ludzkie nowe soki ożywcze, obdarzał całą lawiną świeżych uczuć, wpajał inne zasady, wzbudzał nowe pragnienia. Odrodził jasne, promienne życie, z mrocznej celi klasztornej, z udręki ducha i ciała wywiódł człowieka na słońce, skierował na ukwiecone pola i łany, polecił żyć pięknem tego świata, radować się weselem tej ziemi. Duch i ciało przeżywały swą dobę renesansu. Powstawali nowi ludzie. I nietylko nowi, lecz silni, a nawet potężni. Okres renesansu — to okres olbrzymów, tytanów ludzkiego ducha. Nawet człowiek XX. stulecia, zapuszczający się w te niezwykłe czasy, spowite czarem nowych drgnień życia i porywów

entuzyazmu, skąpane w blaskach starożytnej świetności Greków i Rzymian, doznaje wrażenia, iż znalazł się wpośród ludzi, dla których istnieje i wobec których ciśnie się przedewszystkiem na usta określenie — nazwa: wielcy. I byli oni istotnie twórcami wielkich myśli, pionierami wielkich idei, sami obdarzeni i przepełnieni ogromem uczuć i namiętności. Trzymana w karbach, krępowana w rozwoju indywidualnym przez długie dziesiątki lat i wieki całe natura ludzka wydobyła się z cisnących ją więzów, pełna oszołomienia zanurzyła w światło dzienne, w palące promienie południowego słońca, a częściowo nawet, przez zwykłą kolej rzeczy, na mocy zasadniczych przyrodzonych praw, przerzuciła na kraniec przeciwległy: od ascezy do bachanalii, od cnoty i najwznioślejszej konemplacyi ducha do zbrodni, cynizmu i najrozkoszniejszego użycia. Tem nie mniej wszystko, co nosi na sobie piętno prawdziwego renesansu, co tchnie istotnym duchem odrodzeniowym, mieści w sobie zaród wielkości, tężyzny i mocy. Jedyny to może, albo przynajmniej jeden z niewielu moment w dziejach ludzkości, gdzie nawet zbrodnia, najpotworniejsze pomysły zyskiwały cechę wielkości, nabierały znamion niebywale spotęgowanej grozy i znajdowały wręcz genialnych twórców i wykonawców, chociażby wymienić tylko Cezara Borgię.

O ile z jednej strony ten tak niesłychanie doniosły okres charakteryzuje się jaknajintensywniejszem wzmożeniem życia ludzkiego, o tyle z drugiej strony zdradza skłonność do jaknajwiększej wszechstronności i rozszerzenia dotychczasowych granic i horyzontów. Ideałem i wyrazicielem renesansu stał się człowiek nietylko silny, lecz również dążący nieustannie do pełni życiowej. Wykładnikiem takiego stanu duchowego stała się nazewnątrz ciekawość i tężyzna człowieka, śmiałość słowa i czynu, kierowane potęgą myśli, niezmożoną siłą uczuć i namiętności. Nie zabrakło też przytem i zdecydowanej, niezłomnej woli. Wszystko przeniknięte gorącą, południową wyobraźnią. Nad całością roztoczyła swe tęcze romańsko-włoska fantazya.

Ruch renesansowy, ogarniając całą cywilizowaną Europę, musiał dotrzeć i do Polski. A zawitał poraz pierwszy, chociaż bardzo nieśmiało, już w wieku XV-ym; na dobre jednak wkroczył i utrwalił się w stuleciu następnem. Znalazł też na ziemi naszej stanowczych, wcale nie przeciętnych wyznawców. Nasuwa się pytanie: jak, w jaki sposób zareagowała psychika polska na ten nurt i po-

ryw odrodzeniowy kultury europejskiej południowo-zachodniej? Należy przedewszystkiem stwierdzić, że umysłowość polską, nawet jeszcze w zaraniu XVI w. cechowała znaczna i wyraźną świeżość kulturalna, zwłaszcza w stosunku do dorobku intellektualnego społeczeństw zachodnich. Można również powiedzieć, z pewną ostrożnością i zastrzeżeniem, że umysł polski w pewnym względzie nie zdołał się jeszcze wyzbyć rysów niemal naiwności dziecięcej. Zazwyczaj goniliśmy Zachodnią Europę, dopadaliśmy jej skokami, jak zauważył prof. Kutrzeba (przy studyach i rozważaniach nad ustrojem Polski). Zresztą wiek XV. jest jeszcze wiekiem dalszego ciągu rozbudowy państwa polskiego, jego gruntowaniem. Naród porywany był przeważnie wirem wypadków wojennych, żył w rozgwarze bitewnym i wśród szczęku oręża. Życie wewnętrzne duchowe pozostawało jeszcze niemal w całej pełni pod znakiem średniowiecza. Najwybitniejszy przedstawiciel polskiego dorobku kulturalnego w XV. stuleciu, Jan Długosz, to postać prawie nawskroś średniowieczna. W zakresie szerszej kultury, wyższych aspiracyi artystycznych naród polski w swej olbrzymiej, przytłaczającej większości jeszcze drzemał. Dopiero z końcem XV w. pojawiać się zaczęły wyraźne odgłosy humanizmu. Właściwy jednak przewrót dokonał się w stuleciu następnem i to naturalnie przy współdziałaniu i pod wpływem ożywczego, odradzającego prądu, który nosił miano humanizmu. Tem niemniej podkreślić jednocześnie należy, iż z samej natury warunków dotychczasowego bytowania społeczeństwa polskiego płynęła skłonność do szerszego życia duchowego, pragnienie bardziej gruntownego wypowiedzenia się, wynurzenia czy wyśpiewania swych radości i smutków, trosk i stanów zadowolenia, aktów skruchy czy objawów dumy. Zupełnie naturalne, a nurtujące duszę polską dążenie do uzupełnienia i rozszerzenia stosunkowo zacieśnionego, zwężonego dotąd życia zharmonizowało się z renesansowym pędem do wszechstronności i pełni życiowej. Młoda, budząca się jednak coraz bardziej kultura polska zwarła się silnie z potężną kulturą włoskiego odrodzenia i wogóle europejskiego, a poprzez nią z pełną blasku i żywotności spuścizną świata starożytnego Greków i Rzymian. Związek ten z cywilizacyą i umysłowością rzymską, przez humanizm wznowioną i przejętą, a jednocześnie i południowo-zachodnio-europejską utrwalił się na zawsze i w dobie późniejszej doznawał tylko wzmocnienia. Tą drogą bogactwo psychiki polskiej wzmogło się niezmiernie, ży-

cie wewnętrzne poszczególnych jednostek jak i społeczeństwa doznało pogłębienia i rozszerzenia. Nie należy jednak tego stanu rzeczy i płynących stąd korzyści bynajmniej przeceniać. Typy skończenie, wybitnie kulturalne, zdolne objąć i dźwigać na swych barkach całkowity dorobek cywilizacyjny ówczesnej Europy, nie należały w Polsce XVI. w. do zbyt licznych. Prąd humanizmu porwał w całej pełni i opanował jedynie wybrańców. A stało się to między innemi i dlatego, że ani Polska była w zupełności przygotowaną do tych wielkich wzlotów ducha ludzkiego, na jakie się zdobył renesans włoski, ani z drugiej strony właściwości psychiczne polskie pozwoliły na ujawnienie bądź identycznych, bądź też bardzo podobnych walorów duchowych, z jakiemi się spotykamy pod jasnem i gorącem niebem południa. Stąd też powstały na naszej ziemi typy pośrednie, do pewnego stopnia kompromisowe, bowiem zcieniowane łagodnością i pogodą słowiańską, uskromione polskim unikaniem krańcowości, uposażone bynajmniej niepłomiennym mimo żywego temperamentu idealizmem, zdradzające częstokroć zamiłowanie raczej do spokoju, sielskości — anielskości. Nawet Jan z Czarnolasu, humanista rzetelny i zapewne najznakomitszy w Polsce, jest tylko takim typem renesansowym. — W powyższy sposób załamywał się prąd humanizmu w wybitniejszych psychikach polskich. Jeśli chodzi o pomniejsze, to, rzecz naturalna, i tych nie ominęło wstrząśnienie, spowodowane duchem czasu, wywołane ogólnym nastrojem. Jednakże oddziaływanie to miało miejsce w stopniu znacznie słabszym, rysy charakteru polskie, rodzime wysuwały się na plan pierwszy, górując stanowczo nad wpływami postronnemi. Jakkolwiek niespodzianki i tu nie były wyłączone, zjawiska nader ciekawe, znamienne, nie należały do odosobnionych. Jednostki żywsze bez lęku zabierały głos, podejmowały coraz śmielszy udział w życiu narodu, wplatały własny czyn lub słowo w tkaninę-kanwę dziejów kultury polskiej XVI stulecia. I nad niemi rozpościerał swe skrzydła w mniejszym lub większym zakresie duch odrodzenia, zasiewał im w dusze nowe hasła, nowe pragnienia, dawał żądzę czynów wielkich, niezwykłych, wzbudzał pęd ku poznawaniu rzeczy nowych, nieznanych, ku zgłębianiu tajemnic tego życia i tego ziemskiego świata. Więc też mimo całą częstokroć nieśmiałość i niewysokość lotów, mimo rozbrajającą nieraz prostotę umysłu i serca, mimo tę, jeśli wolno się tak wyrazić, naiwność prymitywów — nie kryły się w cieniu, nie unikały blasku dnia

i nie lękały się świetnych promieni słońca wielkiej kultury zachodu, lecz obdarzały społeczeństwo własnym dorobkiem, służyły braciom w miarę zasobu posiadanych uzdolnień i przenikających chęci. Jakgdyby w myśl Mickiewiczowskiego: „Mierz siły na zamiary...“

Takim typem psychicznym, mierzącym nie zamiar podług sił, lecz siły na zamiary, był niewątpliwie i Maciej Stryjkowski. Jakkolwiek o charakterze w całej pełni świeżości kulturalnej, tem nie mniej stanowił on typ psychiczny silny, a przedewszystkiem wcale bogaty. Nie bystry wprawdzie i przenikliwy, lecz zdrowy, praktyczny rozum, rozsądek, rozległa, ale bynajmniej nie celująca głębokością skala uczuciowa o zabarwieniu entuzyazmu nieco naiwnego, wreszcie stosunkowo silnie rozwinięty pierwiastek woli złożyły się na jego organizacyę psychiczną. I w tych zasadniczych cechach tworzył typ stanowczo polski, zwłaszcza typ nieodrodnego syna ziemi mazowieckiej. Brak skłonności i uzdolnień do spekulacyi myślowej, rys naogół tak bardzo polski, jak echo odbija się w Stryjkowskim. Nie można mu nawet zrobić zarzutu, iż do starożytnych filozofów greckich odnosił się ze zbytnim respektem. Czytamy w jego Kronice [1]), że „Empedocles, Epicurus, Democritus, Diogenes Libertus, Zeno, Pitagoras Samius, Anaximenes, Hierocles i inszy“, to tylko „greccy na wielkie się rozumy sądzący wartogłowowie“, którzy „swarząc się“ między sobą i „nabrzydliwiej błądząc“, „różne i rozmaite świata początki kładli“. Uchodzą gromów „Aristoteles, Cicero, Xenophanes, Averrois“ (wyliczeni razem), lecz zdaje się tylko dlatego, że „świat być wieczny bez początku i bez dokonania wywodzili“. Uznanie zyskał jeden Plato, bowiem „jawnie powiada... świat być od Boga uczyniony i wszystkich inszych rzeczy stworzenia przyczynę samego Boga dobroć i wszechmocność kładzie“, nie tak jak inni, którzy początek i przyczynę wszechrzeczy upatrywali to w *vacuum et inane*, to w *plenum et vacuum*, to w *calidum et frigidum* i t. d. I dlatego był Plato „Boskim Philosophem nazwan“. Stryjkowski tę wielką dyskusyę i problem filozoficzny załatwił bardzo krótko: Bóg „wszystko z niczego, a prawie *ex vacuo plenum* stworzył“. Był bowiem święcie przekonany, że ci, którzy „nagłębiej rozumy swoje okazać chcieli..., nabrzydliwiej błądzili“. Pomogła mu wprawdzie walnie do określenia wła-

---

[1]) Kronika polska, litewska, żmódzka i wszystkiej Rusi... Macieja Stryjkowskiego. Wydanie nowe, Warszawa 1846, t. I., str. 1, 2.

snego stanowiska w tej tak doniosłej kwestyi i nauka Kościoła i oparty na tej nauce ówczesny pogląd na świat, tem nie mniej stosunek Stryjkowskiego do „okazywania nagłębszego rozumu“ zarysował się jak najwyraźniej. Ulubionym terenem jego myśli było życie konkretne, realne, świat otaczający, natura i ludzie, wypadki dziejowe zarówno czasów ubiegłych jak i współczesne, a w tem wszystkiem budziło najwięcej jego zainteresowanie to co nowe, niezwykłe, co poruszało najsilniej jego, wprawdzie nie bujną, lecz żywą wyobraźnię. W ścisłej łączności z powyższym stanem intellektu i skłonności Stryjkowskiego pozostawało zamiłowanie do zabytków przeszłości, jak ruiny zamków, horodyszcza odwieczne, stare oręże, cenne i charakterystyczne pamiątki, do wspomnień i tradycyi, miejsc i pozostałych śladów bitew, jak zbiorowe grobowce i wyorywane kości poległych rycerzy-wojowników, wreszcie zainteresowanie szczególne do zwyczajów i obyczajów, cech charakteru i rysów kulturalnych, sposobu bytowania ludów, które w ruchliwem życiu i licznych podróżach zdołał poznać, a czego dowody złożył w swych pismach, w próbach opisu ziem rozmaitych i narodów. W tych upodobaniach, do których możnaby jeszcze dołączyć nader nastrojowe, wielce przypominające późniejszy o wiele podmuch fali życiowej, skrystalizowanej w romantyzmie, owo szczególne zamiłowanie do pieśni historycznych i ludowych, śpiewanych przy dźwiękach instrumentów muzycznych, którym, jak sądzić można, przysłuchiwał się z największą przyjemnością, w tych zlekka naszkicowanych rysach psychiki Macieja Stryjkowskiego ujawnia się i jej druga wybitna cecha — uczuciowość. Stosunek naszego pisarza do świata zewnętrznego, otaczającego, był raczej uczuciowy, niż intelektualny. Inaczej też być nie mogło, bowiem w duszy jego przemagała stanowczo gorąca, chociaż nie gwałtowna ani wybuchowa uczuciowość nad chłodnym i ścisłym intelektem. Reagował na objawy snującego się dokoła niego i przewijającego życia raczej impulsywnie, raczej wyraziście zarysowaną wrażliwością uczuciowca, niż chłodem i spokojem analityka intelektualisty. Stąd świat jego uczuć nie należał do ubogich lub ograniczonych. Można z większą słusznością utrzymywać, że skala jego uczuć była rozległą. Przyczyniał się po części do tego mocno w nim tkwiący znaczny stopień wszechstronnego zainteresowania i ciekawości. Do duszy Stryjkowskiego napływały liczne i różnorodne wrażenia. A tam załamywały się w pryzmacie uczuciowości,

jako jej najwybitniejszym i najpełniejszym składniku. Nie będzie może rzeczą zbędną zwrócić uwagę przynajmniej na niektóre stany uczuciowe naszego pisarza. Jeśliby chodziło o odwołanie się do najwznioślejszych, to należałoby zwrócić się po nie przedewszystkiem do dziedziny religii i patryotyzmu. Wyrazem rozbudzonych uczuć religijnych była miłość Boga i przywiązanie do wiary ojców, katolicyzmu, na co składa liczne w swych pismach Stryjkowski dowody. Nie wyradzało się to jednak ani powstawało w jakiejkolwiek łączności z fanatyzmem wyznaniowym. Nie pozwalało Stryjkowskiemu na to ani szczytne pojmowanie nauki Chrystusa, ani prawdziwe zdrowie moralne. Strzegł go również ten sam prosty, zdrowy rozum, który mu kazał po przytoczeniu z krzyżackiego kronikarza Piotra Dusburcha całego szeregu „cudów i dziwnych trafunków“ załączyć wielce charakterystyczną uwagę: „nie mój to dowód, wierz jeśli chcesz“ [1]).

Bardziej silnem, czy też tylko może impulsywniejszem, rozleglejszem było uczucie miłości kraju i ludzi, ziemi ojczystej i własnego społeczeństwa. Ukochanie najjaśniejszych chwil i najpiękniejszych kart w dziejach Rzeczypospolitej, duma narodowa, płynąca z dotychczasowej potęgi i chwały, lęk ze względu na grożące Polsce niebezpieczeństwa, obawy o jej przyszłość najbliższą, zazwyczaj przyjmujące postać napomnień i przestróg gorących, wreszcie troska spowodowana błędami i wadami społeczeństwa, należą niewątpliwie do najistotniejszych dowodów jego patryotyzmu. Lecz tego patryotyzmu ani płomiennym ani porywającym nazwać nie można. Niepodobna natomiast odmówić Stryjkowskiemu silnej woli i wytrwałości. Spostrzegłszy w sobie podążające w pewnym kierunku uzdolnienie i zadatki pisarskie, nawet o charakterze rymotwórczym (naturalnie w jego mniemaniu wysoce poetyckim), dosyć wcześnie zdaje się postawił sobie za cel zdobycie poczesnego stanowiska w szeregu polskich autorów i wierszotwórców. I przyznać mu należy, iż mimo nader słabe przygotowanie i niewielki talent, konsekwentnie i wytrwale, jak typowy samouk, szedł przed siebie śmiało i bez wahań, zawsze posuwając się naprzód, zdobywając niezmordowaną, mrówczą pracą coraz to nowe zasoby wiadomości. Ubożuchny początkowo swój stan intelektualny wzbogacał stale i systematycznie. W niedługim czasie po wyjściu ze szkoły, a ra-

---

[1]) Kronika, I., str. 261, uwaga marg., wydanie Malinowskiego.

czej szkółki, spotykamy go wcale często na niwie ówczesnego dorobku kulturalnego. Od umiłowanego zawodu nie zdołała go powstrzymać żadna zewnętrzna, chociażby jaknajbardziej niesprzyiająca i absorbująca w innym zupełnie kierunku okoliczność. Nawet pełniąc służbę wojskową, biorąc udział w poselstwie, mając możność i sposobność zupełnego oddania się nowym wrażeniom, płynącym z nieznanego mu dotąd, oryginalnego, egzotycznego, tak wówczas intensywnego życia wschodu, z jakiem się zetknął podczas pobytu w Konstantynopolu, nie składał jednak pióra [1]). Wszędzie zdobywany zasób wrażeń i doświadczeń był mu nietylko pokarmem i treścią dla zaspokojenia własnego tak ciekawego umysłu, lecz i tworzywem, materyałem do przelewania później w postaci własnych ujęć i opracowań na papier. Wolno też przypuszczać, że potrzeba pisania, wypowiadania się w słowie drukowanem, była mu niemniej wrodzoną, jak pragnienie poznawania nowych rzeczy, nieuskromiona żądza coraz to innych, świeżych wrażeń.

Rozległy zakres zainteresowań, tak znamienny rys umysłowości Stryjkowskiego, był dla jego konstrukcyi psychicznej nader niebezpiecznym. Nadmierna wszechstronność wpływała ujemnie nietylko na zdolność umiejętnego chwytania, lecz, co najważniejsza, odpowiedniego uporządkowania i ustosunkowania zdobytych wra-

---

[1]) W badaniach swych nad psychologią umysłu twórczego (por. Filozofia sztuki, Warszawa, 1917 r., str. 406) stwierdza Michał Sobeski, iż nie może być mowy „o bezwzględnej linii granicznej między geniuszem a talentem", że „funkcyonowanie umysłu genialnego sprowadza się do zupełnie tych samych czynników psychicznych, co działanie umysłu tylko utalentowanego". Istnieje różnica nie rodzajowa, a jedynie stopnia między procesami, które są w gruncie rzeczy, w swej istocie temi samemi. I drugie stwierdzenie, raczej konsekwencya powyższych przesłanek psychologicznych, że nawet geniusz osiąga swe wielkie wyniki dzięki ustawicznemu ćwiczeniu wrodzonego mu zmysłu estetycznego wartościowania (tamże, str. 406). To też najwięksi twórcy odznaczali się jaknajwiększą pracowitością. „Od dzieł prawdziwie wielkich nieodłączny jest krwawy bodaj pot ich twórców, żelazna praca cechuje nawet takie utwory, które, zda się, powstały wprost z natchnienia" (tamże str. 298, 299). Tembardziej pracować musi talent, musi on „więcej szukać, próbować i dobierać" (tamże, str. 406). Stąd prosty wniosek się nasuwa, że talent o mniejszej skali, jak naszego pisarza, domagał się tem energiczniej zastąpienia wrodzonych zdolności, błysków szybkiego oryentowania się i przenikliwego zdawania sobie sprawy usilną i wielką pracą, nieprzerwanym ani na chwilę trudem. I pod tym względem Stryjkowski spełnił swoje zadanie w zupełności. Owoce jego niezbyt długiego żywota świadczą o tem niemniej wymownie, jak własne słowa i zapewnienia pisarza.

żeń. Wynikiem takiego stanu rzeczy był brak należytego ujęcia i skupienia, skrystalizowania w formie myślowej zwartej, ściśle sprecyzowanej. Tu też wychodził na jaw inny rys jego umysłowości, również zresztą nieobcy polskiej psychice wogóle i słowiańskiej zarazem: brak systematyczności, idącej w parze syntezy z analizą, umiejętności odpowiedniego, krytycznego potraktowania przedmiotu. W głowie Stryjkowskiego masa wiadomości, doświadczeń, spostrzeżeń przekształcała się nie w harmonijną, zupełnie wykończoną całość, lecz chaotyczną mieszaninę wszystkich poczynionych przezeń zdobyczy i nabytków psychicznych. To się w szczególności odbijało na płodach jego ducha, a już może najbardziej na dziele najobszerniejszem, „Kronice". A jeśli wielkim twórcom, którym pomysły przychodziły bardzo łatwo, jednakże wykonanie nastręczało wcale niemało trudności i kosztowało znacznego wysiłku [1]), to i naszemu pisarzowi XVI w. dziwić się zbytnio nie będziemy i uwierzymy, gdy nas niejednokrotnie upewnia, iż pracował naprawdę w pocie czoła. A uwierzymy tembardziej, gdy uwzględnimy zalety i wady jego organizacyi psychicznej. Można też powiedzieć w formie wniosku ostatecznego, że o ile Stryjkowski zdradzał zmysł krytyczny, nawet nader często, w odniesieniu do sfery życia praktycznego, dzięki wrodzonemu, zdrowemu rozsądkowi, o tyle w świecie nauki, teoryi, gdzie prócz uzdolnień wymaganą jest umiejętność, wręcz sztuka obchodzenia się z materyałem naukowym, zdobycie się na krytycyzm należyty, opanowanie gruntowne materyału stawiało mu niezwalczone trudności i przeszkody. Czuł się najlepiej, najbardziej swojsko w zagadnieniach życia konkretnego, realnego, możnaby jeszcze dodać codziennego, bieżącego. Pomocne mu w tem były i rozwinięty dar spostrzegawczy i zdolność wnikania w tok życia aktualnego. To też porywał z pędzącej fali życiowej jej konkretność, realizm, prostotę i dokładność zjawisk. Świat otaczający raczej widział, niż przenikał myślą — i to widział obrazami. Jakkolwiek od czasu do czasu i w głowie zaświtała myśl — refleksya, jakkolwiek, o wiele częściej, drgnęło i żywo odczuwające serce, tem niemniej był Stryjkowski urodzonym typem plastyka, należał do kategoryi obdarzonych wyobraźnią plastyczną (*imagination plastique*) [2]). Bowiem tak, jak on widział,

---

[1]) M. Sobeski, Filoz. sztuki, str. 398.

[2]) Th. Ribot: Essai sur l'imagination créatrice. Paris, 1900, str. 153.

obrazy jasne, konkretne, przesiąknięte nawskróś realizmem, dające możliwie najdokładniej wrażenie rzeczywistości [1]). Jego żywa fantazya, raczej wszechstronnie życiowa, niż bujnie i wykwintnie artystyczna, poruszała się swobodnie tylko w zakresie zjawisk realnych. Stąd spotykamy u Stryjkowskiego tak wiele charakterystycznych porównań, zaczerpniętych zazwyczaj z codziennego, dobrze zaobserwowanego i podpatrzonego tła i otoczenia. Są one często dobitne i zwarte, a prawie zawsze plastyczne. Gdy zachodziły pewne subtelności lub potrzeba dokładniejszego sprecyzowania, wówczas ucieka się nasz pisarz do porównań, wypowiada się, rzec można, obrazami. Sam przedewszystkiem widział i w czytelniku swych pism budził zmysł plastycznego oglądania. Możnaby o nim powtórzyć, naturalnie przy zachowaniu odpowiedniej skali i zastrzeżeniu wszelkich tkwiących w tem porównaniu różnic, to, co Taine powiedział o Carlyle'u: *Il entre à chaque pas dans les figures; il donne un corps à toutes ses idées, il a besoin de toucher des formes. Il ne peut pas raisonner, il faut qu'il peigne* [2]). Co tem zrozumialej się tłomaczy, jeżeli uwzględnimy jego zdolności i upodobanie do rysunku, przy którym posługiwał się on nawet farbami. Nic dziwnego zatem, że i na sposobie pisania, stylu uwidoczniła się jego skłonność jak również uzdolnienie plastycznego postrzegania i tworzenia. To też najbardziej był sobą, dawał rzeczy najbardziej wartościowe, najwięcej zbliżone do tworów artyzmu, gdy się zajął opisem. Opisy natury i zjawisk realnego, konkretnego życia są najpiękniejszą cząstką w spuściźnie pisarskiej Stryjkowskiego.

Stanisław Krawczyk.

---

[1]) Tamże, str. 153 i 163.

[2]) Cytat Ribot'a w wzmiankowanej wyżej pracy, str. 155.

Galicya a austryackie pożyczki wojenne.

Udział Austryi w wojnie światowej pociągał za sobą od chwili jej wybuchu ogromne wydatki, których chronicznie pusty skarb państwowy nie był w stanie pokryć. Trzeba więc było, idąc za przykładami dawnymi, a nawet czasów parlamentaryzmu przedwojennego, uciec się do dochodów „nadzwyczajnych“. Na zagranicę, nawet neutralną, liczyć nie można było, gdyż jej zaufanie do płatności Austryi, słabe przed wojną, zanika zupełnie w czasie wojny. A więc trzeba się uciec do wypróbowanej pomocy Banku austro-węgierskiego, oraz do pomocy „patryotycznej“ ludności.

Tymczasem wywozi się zagranicę wszystko, co się da wywieźć, gdyż tylko za złoto lub towar można cokolwiek zagranicą dostać. Nawet „wierny sprzymierzeniec“, Niemcy, nie chce za papierowe zobowiązania niczego dostarczyć. Wywozi się w ten sposób z monarchii złoto do Rumunii, Niemiec i Szwajcaryi, sól i cukier głównie do Szwajcaryi, zboże, drzewo, tytoń i naftę do Niemiec, maszyny i narzędzia do Rumunii. W następstwie tego wartość zamienna biletów bankowych, pełniących funkcye pieniądza, spada ogromnie zwłaszcza, że w ślad za złotem znika też i moneta srebrna.

W tych warunkach Bank austro-węgierski zostaje upoważnionym do podwyższenia ilości banknotów. Pojawiają się bilety bankowe dwu, a nawet jednokoronowe. Występuje inflacya biletów bankowych, a w rezultacie znowu obniżenie ich wartości zamiennej.

Wydatki państwa rosną coraz bardziej w miarę wzrastającej wskutek tego t. zw. drożyzny.

Jedynym środkiem zdobycia środków pieniężnych celem dalszego prowadzenia wojny jest zaciągnięcie pożyczek wewnętrznych,

przy których „wierne ludy“ oddadzą tymczasowo państwu do dyspozycyi swoją gotówkę.

Do pomocy ludności uciekał się rząd w ciągu wojny ośm razy. Po raz pierwszy zakołatał do kieszeni obywatelskiej już w listopadzie 1914 r., po raz ostatni w lipcu 1918 r.

Technika przeprowadzenia tych pożyczek nie odrazu mogła być doskonała, ale w miarę trwania wojny i doświadczenia doskonaliła się coraz bardziej.

Pożyczki wojenne austryackie przeprowadzano w dwojakiej formie, a mianowicie albo w formie $5^1/_2{}^0/_0$ długo-terminowej amortyzacyjnej pożyczki, albo w formie $5^1/_2{}^0/_0$ krótkoterminowych bonów kasowych, spłacalnych już w kilka lat po wojnie.

Stosunkowo wysoka stopa procentowa, oraz możność wyboru krótko, względnie długoterminowych walorów, miała zachęcić ludność do wzięcia udziału w tej operacyi.

Oprócz tego udzielano subskrybentom wiele ponętnych udogodnień. I tak przyznano efektom pożyczek wojennych kwalifikacye papierów, nadających się do zabezpieczenia pupilarnego. Powtóre zwolniono efekty pożyczek wojennych od podatku rentowego.

Wreszcie zagwarantowano subskrybentom, że Bank austro-węgierski, oraz wojenna kasa pożyczkowa przyjmą efekty pożyczek wojennych w zastaw, i to udzielając nań pożyczki do wysokości $75^0/_0$ nominalnej wartości, przyczem miały wspomniane kasy pobierać odsetki w wysokości tylko $5^0/_0$. W ten sposób ułatwiano w doniosły sposób obrót efektami pożyczkowemi, co powinno było wzmocnić ruch pożyczkowy.

Oprócz wspomnianych finansowych udogodnień dla subskrybentów, wprowadzono wiele technicznych udogodnień. I tak umożliwiano subskrypcye w kwotach nawet bardzo niskich, bo odbijano odcinki amortyzacyjnej pożyczki wojennej po 50, 100, 200, 1000, 2000 etc. koron, a bonów skarbowych po 1000, 5000, 10.000 i 50.000 koron.

Nadto umożliwiano subskrybentowi subskrypcyę w ten sposób, że ustanowiono bardzo wiele miejsc subskrypcyi. Oprócz instytucyi finansowych, jak banki, przyjmowały zgłoszenia wszystkie urzędy pocztowe i podatkowe.

Poza tem pośredniczyły między subskrybentem a miejscami subskrypcyi prawie wszystkie władze, urzędy, zwierzchności gminne,

spółki oszczędności i pożyczek etc. Ponieważ formularzy zgłoszeń subskrypcyjnych nie brakowało nigdzie, subskrybent z łatwością w każdej miejscowości mógł bez trudności uskutecznić swe zgłoszenie.

Do zwiększenia akcyi pożyczkowej przyczyniła się w znacznej mierze agitacya, zorganizowana w sposób bardzo umiejętny. Agitowano przy pomocy ogłoszeń nawet artystycznych, okólników władz, urządzania zgromadzeń. Redakcyom czasopism przysyłano gotowe artykuły, ogłoszenia, klisze, nierzadko więcej lub mniej dowcipne wiersze, przyczem umieszczenie tych artykułów i ogłoszeń było przymusowem chyba, że dana redakcya umieściła reklamę własnej kompozycyi.

Dodać do tego należy presyę władz. Dostawców wojennych zmuszano do subskrypcyi pod grozą nieprzydzielenia dostaw. Instytucye i przedsiębiorstwa zmuszano do wykazania się podpisanemi pożyczkami. W razie słabszej subskrypcyi zmuszano do tłumaczenia się. Urzędników i funkcyonaryuszów publicznych zniewalano do subskrypcyi pod rygorem, choćby złego opisania w listach kwalifikacyjnych. Często nie pytając się wcale o wolę, ściągano na pożyczkę część poborów.

Przy wojsku presya ta była nie mniejszą. Od oficerów wymagano udziału w subskrypcyi bezwzględnie. Często udzielenie urlopu zawisłem było od wzięcia udziału w subskrypcyi. Od żołnierzy bezpośrednio nie można było tego wymagać. Ale i tu postępowanie w sprawie udzielania urlopów otwierało pole do wielu nadużyć. Zresztą w ograniczonej ilości tytułów do uzyskania urlopu wprowadzono specyalny tytuł „urlopu w celu podpisania pożyczki wojennej“, przyczem żołnierzom dawano bezpłatny bilet jazdy kolejami.

Nie można tu pominąć pewnej specyalnej kombinacyi subskrypcyi pożyczki wojennej. Za inicyatywą „Funduszu wdów i sierót“ zorganizowano ubezpieczenie życiowe w pożyczce wojennej, przyczem ubezpieczony opłacać miał tylko premie ubezpieczeniowe, zresztą bardzo nizkie, a Towarzystwo ubezpieczeniowe zobowiązywało się w chwili wypłaty umówionej kwoty wypłacić ją ubezpieczonemu, względnie jego spadkobiercom, w efektach danej pożyczki wojennej. W tej kombinacyi subskrybentem było Towarzystwo ubezpieczeniowe.

Nadto w późniejszych pożyczkach wprowadzano pewną kom-

binacyę konwersyi pożyczki. Mianowicie można było przemienić krótkoterminowe bony kasowe poprzednich pożyczek na długoterminową amortyzacyjną pożyczkę nowej emisyi.

Presya władz austryackich w kierunku podpisywania pożyczek wojennych uzależnioną była rzecz prosta od powodzeń militarnych i politycznych. Gdy się akcya militarna państw centralnych rozwijała pomyślnie, presya władz rosła niezwyczajnie, jak to niżej zobaczymy.

Mimo to wszystko rezultaty tej całej akcyi nie odpowiadały oczekiwaniom i nie zdołały powstrzymać przesądzonego zresztą od lat wielu bankructwa.

Według zestawienia niemiecko-austryackiego „Staatsamt der Einnahmen“, stan wszystkich pożyczek wojennych austryackich wynosił z końcem października 1918 r. — 35.230 milionów koron. Suma wszystkich subskrypcyi wynosiła według preliminarza budżetowego na rok 1918/19 36.908.724.600 koron.

Jakiż był, względnie jest udział Galicyi w subskrypcyi tej poważnej kwoty?

Odpowiedź na to pytanie zależna jest od punktu wyjścia przy opracowaniu tematu. Albo można zbadać, jaką kwotę subskrybowano w Galicyi na rzecz austryackich pożyczek wojennych, albo też zależy nam na wyjaśnieniu, jak wielka kwota subskrybowanych pożyczek jest w posiadaniu mieszkańców kraju. Zbadaniem pierwszej kwestyi zajęło się naskutek okólnika Polskiej komisyi likwidacyjnej, skierowanego do wszystkich instytucyi finansowych kraju, Biuro statystyczne P. K. L. Obecnie materyał ten już jest zebrany i opracowany. Wyniki swej pracy przedstawiło Biuro statystyczne P. K. L. do oceny ankiecie większych instytucyi finansowych w Krakowie dnia 17 lutego 1919 r. [1]).

Zbadaniem stanu posiadania austryackich pożyczek wojennych zajęło się również Biuro statystyczne K. R. Wydział skarbowy K. R. zwrócił się do wszystkich komisarzy powiatowych, by ci zarządzili w swych okręgach rejestracyę posiadanych przez ludność pożyczek wojennych. Analogiczne zarządzenia miały wydać dla Galicyi wschodniej T. K. R., dla Śląska Cieszyńskiego — Cie-

---

[1]) Wyniki tej ankiety przedstawił kierownik Biura statystycznego P. K. L. prof. dr. Kumaniecki w „Życiu gospodarczem“ Nr. 6, z dnia 6 marca 1919.

szyńska Rada Narodowa, a dla Królestwa — rząd warszawski. Cała ta akcya jest dopiero w toku.

Najprostszem wyjściem dla zbadania interesującego nas tematu byłoby pewnie zaczerpnięcie informacyi w instytucyach centralnych w Wiedniu, względnie w Pocztowej Kasie Oszczędności, przez którą prawie wszystkie zgłoszenia przeszły. Lecz informacyi takich we wspomnianych instytucyach nie można osiągnąć, gdyż, jak zapewniają, zestawień wyników według krajów koronnych nie mają. Trudno w to uwierzyć, lecz z drugiej strony przyznać trzeba, że gdyby takie zestawienia istniały, to obejmowałyby one zgłoszenia według siedziby instytucyi zgłaszającej, a więc dla Galicyi nie wykazałyby subskrypcyi, które przeszły przez zakłady filialne banków wiedeńskich i czeskich, a przez te przeszła większa część subskrypcyi galicyjskich.

Obecnie więc możemy odpowiedzieć tylko na pytanie, jak wielką kwotę podpisali mieszkańcy i instytucye Galicyi z ogólnej subskrypcyi austryackich pożyczek wojennych.

Tu musimy się zastrzedz, że podawane przez nas liczby nie roszczą sobie pretensyi do zupełnej ścisłości i pewności. Przy dostępnym dla nas materyale nie podobna ustrzedz się przed niedokładnościami, zwłaszcza wobec tego, że niejednokrotnie przy ustalaniu przez nas pewnej pozycyi uciec musieliśmy się do kombinacyi. W każdym razie staraliśmy się ustrzedz przed dwoma błędami. Po pierwsze, staraliśmy się wykluczyć dwukrotne liczenie tych samych subskrypcyi, po drugie przy kombinacyach woleliśmy zawsze przyjmować liczby mniejsze, aniżeli większe. W rezultacie więc wykluczyć można fakt, iż ostateczna liczba okaże się za wysoką, owszem, liczymy na pewno, że osiągniętą przez nas liczbę będzie trzeba ewentualnie, gdy napłyną wszystkie materyały rejestracyjne, podwyższyć.

Według miejsc subskrypcyi możnaby w materyale ustalić siedm grup subskrypcyi: [1])

1. Subskrypcye instytucyi krajowych łącznie z krajowemi

---

[1]) Z łatwo zrozumiałych względów nie możemy podawać szczegółów, odnoszących się do poszczególnych instytucyi. Szczegóły te niejednokrotnie mogłyby rzucić wiele światła na interesującą nas kwestyę, lecz wobec tego, że łatwo mogłoby to wywołać nieporozumienia, wolimy te szczegóły w zupełności pominąć.

filiami instytucyi obcych. Wszystkie te instytucye nadesłały sprawozdania szczegółowe. Brak tylko wykazów dla instytucyi, mających siedzibę w zajętej obecnie przez Ukraińców części kraju, a więc w Drohobyczu, Stryju, Stanisławowie, Tarnopolu i Kołomyi. Wchodzące tu w rachubę instytucye były miejscami subskrypcyi bezpośrednio. Ponieważ liczby oparte na tych wykazach są zupełnie ścisłe, z wyjątkiem instytucyi z przytoczonych miejscowości i ponieważ stanowią one pełny wykaz działalności tych instytucyi, nie wliczamy tu subskrypcyi, stwierdzonych inną drogą, a dokonanych poza krajem. Ogólna kwota subskrypcyi należącej do tej grupy wynosi 734.494.850 koron.

2. Wiele subskrypcyi dokonali mieszkańcy i instytucye z kraju poza krajem. Przyczyna tego leży w tem, że wiele osób w czasie podpisywania pożyczek przebywało poza krajem; podobnie wiele instytucyi w czasie swej ewakuacyi wzięło poza krajem udział w subskrypcyi. Nadto w grę wchodzą nieraz stałe stosunki subskrybentów z temi instytucyami, a czasem może nawet pewne ustępstwa tych obcych miejsc subskrypcyi na rzecz subskrybentów. Nie możemy zapomnieć o tem, że bardzo wiele kapitału krajowego stale leżało w lokacie poza krajem, gdzie też w drodze zlecenia podpisano pożyczkę. Do grupy tej należą też subskrypcye większych przedsiębiorstw krajowych (akcyjnych i t. p.), których zarządy przebywały stale poza krajem. Wyłączone z pomiędzy tych przedsiębiorstw są tylko przedsiębiorstwa górnicze i hutnicze.

Subskrypcye należące do tej grupy wynoszą łącznie kwotę 329.984.050 K.

3 Z poprzedniej grupy wyłączyliśmy subskrypcye przedsiębiorstw górniczych i hutniczych. Mamy bowiem dla tych przedsiębiorstw osobny, szczegółowy materyał nadesłany przez te instytucye do Starostwa górniczego w Krakowie. Starostwo górnicze pod bardzo silną presyą Ministerstwa robót publicznych zbierało materyały, tyczące się udziału przedsiębiorstw górniczych i hutniczych w subskrypcyi pożyczek wojennych. Materyał ten jest wprawdzie niezupełnie kompletny, lecz luki w nim są bardzo nieznaczne. Materyał ten obejmuje cały kraj i jest z powodu zawartych w nim szczegółów nader cenny.

Według wykazów, w nim zawartych, zdające sprawę instytucye (przedsiębiorstwa, kopalnie, urzędnicy, kasy brackie etc.) subskrybowały łącznie 174,754.600 K. Dla pewnej tylko części wykazano

również miejsca subskrypcyi. Z ogólnej powołanej kwoty określono miejsca subskrypcyi tylko dla 51,448.000 koron. Z kwoty tej subskrybowano w kraju 11,056.000 K, a resztę tj. 40,392.000 K poza krajem. Jeżeli ten sam stosunek przyjmiemy do ogólnej kwoty subskrypcyi górniczych, otrzymamy na poczet subskrypcyi krajowych około 45 milionów, a około 130 milionów na poczet subskrypcyi pozakrajowych. Subskrypcye krajowe wliczone już są wyżej pod 1. Doliczyć więc z tej grupy musimy subskrypcyę instytucyi górniczych dokonaną poza krajem w kwocie 130 mil. koron.

4. Wiele pożyczek zgłaszano za pośrednictwem urzędów pocztowych. Wszystkie te subskrypcye wpłynęły do Pocztowej Kasy Oszczędności, lecz Dyrekcya tejże nie jest skłonną udzielić nam interesujących nas wyjaśnień. Subskrypcye przez poszczególne urzędy pocztowe prowincyonalne dochodzą często setek tysięcy koron. Pewna ilość urzędów pocztowych nadesłała owe wykazy. Na ich podstawie można było ustalić, że za pośrednictwem P. K. O., wliczając w to i subskrypcye niektórych instytucyi finansowych, nie będących bezpośrednio miejscami subskrypcyi, subskrybowano w Galicyi 167,375.464 K.

5. Dość znaczny udział wzięły w subskrypcyi austryackich pożyczek wojennych urzędy podatkowe i depozytów sądowych. Wchodzą tu w grę subskrypcye na rzecz kas sierocych, mas depozytowych i fideikomisów. Ministerstwo sprawiedliwości publikowało wykazy odnośnych subskrypcyi w „Verordnungsblatt des k. k. Justizministeriums“. Według tych wykazów wymienione fundusze subskrybowały na rzecz wszystkich ośmiu pożyczek wojennych 31,034.327 K, w czem udział kas sierocych wynosi 19,276.375 K. Przy pierwszych pięciu pożyczkach wliczane są w tej kwocie subskrypcye ze sądów, mających swą siedzibę na Bukowinie, jako należących do okręgu Sądu krajowego wyższego we Lwowie.

Udział Bukowiny w subskrypcyach był minimalnym z powodu wypadków wojennych.

Przez urzędy podatkowe wpłynęła też pewna część subskrypcyi, zgłoszonych przez osoby prywatne.

Razem przez urzędy podatkowe i depozytów sądowych zgłoszono 46,034.327 koron subskrypcyi.

6. Władze wojskowe wywierały też presyę na podwładnych w kierunku subskrypcyi. Zmuszano oficerów i żołnierzy, wprost lub pośrednio, by wzięli udział w subskrypcyi. Przeważnie też or-

gana wojskowe były miejscami płatności, które przelewały znów zdobyte w ten sposób fundusze do instytucyi finansowych, z reguły obcych. Te zobowiązywały się zwykle pewną część prowizyi ofiarować na cele dobroczynne pułku lub zakładu.

Nadto z pomiędzy zdeponowanych u władz centralnych kaucyi użyto ich znaczną część na rzecz pożyczek wojennych. Obydwu tych kategoryi subskrypcyi nie można bliżej określić liczbowo. Wspomniana ankieta przyjęła jako przypuszczalną ich wysokość kwotę 75,000.000 K.

7. Fundusz wdów i sierót przez filie swe we Lwowie i w Krakowie zebrał ogółem większą ilość ubezpieczeń życiowych na łączną kwotę ubezpieczoną 234,500.000 koron. Na rachunek tych ubezpieczeń subskrybował F. W. i S. w instytucyach krajowych 120 milionów koron, w instytucyach wiedeńskich około 50 milionów koron.

Wyniki subskrypcyi austryackich pożyczek wojennych społeczeństwa Galicyi przedstawiają się zatem jak następuje:

1. Subskrypcye w instytucyach krajowych . . .	734,494.850	K
2. Subskrypcye w instytucyach pozakrajowych z wyłączeniem górnictwa	329,984.050	„
3. Subskrypcye instytucyi górniczych, dokonane poza krajem około	130,000.000	„
4. Subskrypcye za pośrednictwem P. K. O. . .	167,375.464	„
5. Subskrypcye za pośrednictwem urzędów podatkowych	46,034.327	„
6. Subskrypcye instytucyi wojskowych z kaucyami	75,000.000	„
7. Subskrypcye funduszu wdów i sierót przez instytucye wiedeńskie	50.000.000	„
Razem . . .	1,532.888.691	K

czyli okrągło 1.533 milionów koron.

Z kwot wymienionych pod 1. i 2. banki wiedeńskie i ich filie wykazują łączną kwotę subskrypcyi w wysokości 447,143.000 K, filie banków czeskich 45,735.000 K. A więc prawie połowa subskrypcyi tych uskutecznioną została przez czynniki krajowe, lecz za interwencyą obcych.

Przeszło półtora miliarda koron subskrybowała Galicya na rzecz austryackich pożyczek wojennych. Z jednej strony trzeba stwierdzić pewną odporność naszego społeczeństwa, gdyż z 35 mi-

liardów pożyczki wojennej przyjęto na siebie tylko $1^{1}/_{2}$ miliarda, t. j. 4·3%. Z drugiej strony stwierdzić należy pewną lekkomyślność, gdyż cele, na które pożyczki były zużyte, nie leżały w linii naszych narodowych interesów, a pewność pożyczki była z góry wątpliwą. Nie idzie tu całkiem o kapitały jednostek silnych gospodarczo, gdyż one z pewnością w czasie wojny nie zubożały. Lecz między temi subskrypcyami są kapitały, należące do funduszów, których ochrona powinna leżeć społeczeństwu na sercu. Należą tu kasy sieroce, kasy gwareckie, fundusze emerytalne. Nadto nieraz instytucye finansowe, w których warstwy słabsze gospodarczo lokowały swe oszczędności, angażowały się zbytnio, kierowane chęcią lepszych zysków. I tak np. jedna prowincyonalna instytucya, której klientela pochodzi wyłącznie z ludności małomiejskiej i wiejskiej, złożyła w pożyczkach wojennych przeszło 20 milionów koron.

Dla ilustracyi, w jaki sposób rosła propaganda pożyczki i presya rządu, przytaczamy sumaryczne rezultaty każdej pożyczki oddzielnie, dołączając dla każdej procentowy udział w łącznej kwocie subskrybowanych w Galicyi pożyczek, oraz udział Galicyi w subskrypcyi całej kwoty poszczególnej pożyczki.

Pożyczka:	Subskrypcya koron:	%	Z całej subskrypcyi austryackiej przypada na Galicyę %
I.	19,929.000	1·30	0·90
II.	30,200.000	1·97	1·12
III.	121,874.000	7·95	2·90
IV.	183,040.000	11·94	4·05
V.	215,233.000	14·04	3·42
VI.	229,643.000	14·98	4·42
VII.	443,957.000	28·96	7·34
VIII.	289,124.000	18·86	5·02
Razem . .	1.533,000.000	100·00	4·15

Rozwój pożyczki zrozumiemy jeszcze dokładniej, gdy rozpatrzymy z jakimi wypadkami politycznymi i wojennymi się one schodziły. I tak w czasie pierwszej pożyczki linia bojowa rosyjska biegła w najbliższem sąsiedztwie Krakowa, w czasie drugiej linia biegła nad Dunajcem i rozpoczynała się ofenzywa państw centralnych. Gdy ta ofenzywa zakończyła się niezwykłym sukcesem, kwota subskrybowana rośnie odrazu w czwórnasób. W ciągu roku 1915

posuwają się armie państw centralnych aż do Styru, we Francyi na wiosnę 1916 r. Niemcy urządzają ofenzywę na Verdun; wtedy dochodzi do skutku czwarta pożyczka. Gdy ofenzywa rosyjska we wschodniej Galicyi zostaje powstrzymaną w lecie 1916 r., przeprowadza się pożyczkę piątą. W Rosyi wybucha rewolucya, pada tron Romanowych, front rosyjski słabnie, a więc w początku r. 1917, dochodzi do skutku pożyczka szósta.

W jesieni 1917 r. kruszeje zupełnie front rosyjski, nadchodzi chwila rozbicia i upokorzenia rewolucyjnej Rosyi w Brześciu litewskim, ofenzywne armie państw centralnych na froncie włoskim dochodzą do linii Piawy, we Francyi potęga Niemiec jest niezłamana, brzmi groźna nuta pokoju miecza (ale niemieckiego jeszcze), pewność siebie rządów państw centralnych osiąga swój kulminacyjny punkt i wówczas też osiąga swój kulminacyjny punkt subskrypcya austryackich pożyczek wojennych, a zarazem i udział w nich Galicyi. Tryumfy po pokojach brzeskim i bukareszteńskim nie trwają już długo, rozpoczyna się katastrofa Niemiec nad Marną, i to w chwili prawie największego pozornego powodzenia, dla Austryi przychodzi cios nad Piawą, intensywność propagandy słabnie, i ósma, przedśmiertna pożyczka wojenna Austryi raptownie spada w porównaniu ze swą świetną poprzedniczką.

W tych warunkach przychodzi chwila, której zarodki można znaleźć przed przeszło 100 laty, upadek i likwidacya Austryi.

Przedstawiliśmy wyżej, o ile to obecnie jest możliwem, udział Galicyi w pewnej, coprawda bardzo znacznej, części długów Austryi, przyczem kraj nasz jest wierzycielem. Otwartą jest natomiast, jak dotąd, kwestya udziału Galicyi, ale już jako dłużnika, tj. spadkobiercy Austryi. Co do tej kwestyi nie chcemy uprzedzać faktów, ani co do istoty, ani co do rozmiarów.

Romuald Struczowski.

Notatki.

Dochodzą z Paryża wiadomości, że wszystkie wątpliwości entente'y co do oddania Polsce Gdańska kończą się ostatecznie na tem, że w najgorszym razie nie dostaniemy Gdańska bezpośrednio pod naszą władzę, lecz zostanie z tego miasta i z jego okolicy utworzone wolne miasto, niezależne formalnie od Niemiec i od Polski, objęte jednak polskim systemem celnym i kolejowym, odcięte przestrzenią polskich Kaszub od Niemiec.

W historyi naszej mieliśmy już doświadczenie, jak wyglądała niezależność podobnego „wolnego miasta Krakowa" w stosunku do otaczających je ze wszystkich stron państw obcych. W tym stosunku byłby Gdańsk do Polski. I w nowszych czasach podobne nieco, choć formalnie lepsze, stanowisko miało neutralne, a niepodległe Księstwo Luksemburg w stosunku do Niemiec. Wiadomo, że niepodległość jego była fikcyą, choć przecie nawet sąsiadowało nietylko z Niemcami, lecz i z Francyą.

Wszystko zatem w tej konstelacyi zależy od nas, od naszej zręczności. Trzeba sobie jasno wytknąć cel polityczny i drogi do niego prowadzące. Musimy żądać równouprawnienia w „wolnem mieście" Polaków i języka polskiego, w krótkim czasie zdobyć tam większość narodową, drogą ekonomicznych argumentów przekonać gdańskich Niemców o korzyściach z bezpośredniego należenia do Polski, a o trudnościach korzystania z bogactw naszego państwa bez należenia doń. Rezultatem końcowym dobrowolne bezwarunkowe przyłączenie się Gdańska do Polski.

Fakt ów będzie z pewnością dla Niemców powodem do wypowiedzenia nam wojny — nie może nas to zaskoczyć, zastać nie-

przygotowanymi, musi nastąpić możliwie niedługo, gdy Niemcy nie będą jeszcze miały sił do wojny polskiej.

Gorzej nieco się sprawa przedstawia z Prusami wschodniemi. Nie dlatego, że ma być z nich utworzone odrębne państwo: wyłączenie zbitej masy Niemców, zamieszkujących ten kraj, z naszego młodego państwa może być raczej z pewnego punktu widzenia uważane na razie za pożądane. Nie dlatego, że ma być do nich przyłączone Mazowsze pruskie w razie nieudania się plebiscytu: sądzić należy, że będziemy mieli czas na przygotowanie go. Lecz dlatego, że mają one należeć do Rzeszy Niemieckiej i przedewszystkiem dlatego, że mają mieć zapewnione wolne transito z Niemiec przez Polskę.

Ale i na to jest rada. Jeśli urządzimy odpowiednio system cłowy i taryfy kolejowe i zastosujemy je do Prus wschodnich narówni z Niemcami, to niechże probują sobie dowozić tak zboże jak węgiel z Niemiec przez ową wolną drogę tranzytową lub przez morze! Od nas tylko zależeć będzie, kiedy zmienią swą przynależność do Rzeszy Niemieckiej na autonomiczno-prowincyonalną przynależność do Polski.

W ten sposób owe kwestye polityczne zamieniają się na gospodarczo-polityczne, w których wszystkie atuty będą po naszej stronie, z tem zastrzeżeniem, że w międzyczasie Niemcy nie staną się tak silne, iż będą mogły używać owych placówek za narzędzia walki politycznej przeciw nam, paraliżujące naszą niezawisłość. Lecz sądzić należy, że z kwestyami temi potrafimy się uporać, póki Liga Narodów i powszechne rozbrojenie będą jeszcze miały walor. Musimy pamiętać, że jest to kwestya naszej na przyszłość siły lub też zarodek upadku. Nie zapominajmy o tem nigdy! *R. T.*

*
*   *

Sejmowa Komisya Rolna uchwaliła dnia 11 kwietnia wprowadzić do programu reformy naszego ustroju rolnego zasadę maximum własności i prawa państwa wywłaszczania właścicieli, posiadających ziemi więcej, niż owo maximum.

Uchwała przyszła do skutku po długich targach i ceregielach, pod naciskiem Piastowców, którzy dla jej wymuszenia nie wahali się głosować za zniesieniem stanu wyjątkowego, który przed 5 dniami zaaprobowali. Widać obawiali się wracać na Wielkanocne

święta do swych wyborców bez co najmniej obietnic dla rozbudzonych podczas agitacyi wyborczej apetytów. Wszak już podobno na mocy zapewnień poselskich każdy chłop, czy biedny czy bogaty, upatrzył sobie kawałek ziemi w pobliskim folwarku. Bieda tylko, że podobno więcej jest amatorów, niż ziemi i na tem tle dochodzi do poważnych zatargów między kolegami partyjnymi.

Nie myślimy bynajmniej powstawać przeciw reformie rolnej i wywłaszczeniu jako takiemu. Trudno jest jednak nie zaznaczyć, że tak ważne sprawy, sięgające w podstawy gospodarczego i politycznego życia narodu, nie powinny być rozstrzygane bez współudziału reprezentantów ludności całej Polski, w tym wypadku bez całego zaboru pruskiego. Nie powinny też być załatwiane na kolanie, nosić wybitnie cechy dorywczości i politycznych efektów.

Boć wszak nikt rozsądny nie przyzna, że zupełne odebranie ziemi duchowieństwu duszpasterskiemu będzie dobrem. Dla egoizmu chłopskiego poświęca się niezależność duchowieństwa, która tak olbrzymie znaczenie posiada dla utrzymania życia religijnego i duchowego społeczeństwa na koniecznym poziomie. Czyż nie wystarczyłoby ograniczyć tę własność do jakich np. 10 morgów?

Takie same cechy ciasnego egoizmu chłopskiego nosi zapowiedź państwowego unormowania cen ziemi wywłaszczanej. Chłop będzie miał tanią ziemię, bo o to mu chodzi. Lecz społeczeństwo nie będzie miało chleba, bo wszak cała większa własność, której ma w myśl omawianych uchwał grozić w każdej chwili wywłaszczenie po cenach nie targowych, tylko sztucznie unormowanych, wstrzyma się od nakładów, od zagospodarowywania zniszczonych folwarków. A przecież obecnie niema gospodarstwa, któreby nie potrzebowało wielkich inwestycyj, by odrobić czasy zaniedbania wojennego i wrócić do produkcyi przedwojennej. Produkcya rolna więc jeszcze się cofnie! Wiadomo, że i obecnie nie wystarcza na nasze potrzeby. Musi więc nas znów ratować import, a więc spadek naszej waluty, albo też przyjdzie doradca bolszewizmu, głód.

Sama uchwała jest tak sformułowana, że dopuszcza tylko subsydyarnie wywłaszczenie. Prawdopodobnie do niego nawet nigdy nie przyjdzie, gdyż i bez niego podaż ziemi będzie wielka, tylko niestety ze strony średniej własności, a nie wielkiej. Tem niemniej skutki owej teoretycznej uchwały odbiją się dotkliwie i namacalnie na najżywotniejszych naszych interesach. Czy zastanawiali się nad

tem promotorzy owej uchwały? A może kompromis z nimi zawarty ma na celu tylko stępić chwilowo na czas przejściowy ostrze ich niedowarzenia i niedojrzałości, by w przyszłości przeprowadzić prawdziwie rzetelną reformę rolną, rzeczywiście przeciw latyfundyom zwróconą, a dążącą do utworzenia silnej grupy średnich form własności rolnej? Po ustalonym sposobie ustawowej realizacyi uchwał komisyi takby sądzić należało. Może to i dobry system, lecz w każdym razie skrupi się on na produkcyi rolnej roku przyszłego. *Eta.*

* * *

Akademia Umiejętności utworzyła nową komisyę, „Komisyę języka polskiego“; jej prezydyum objęli: pp. Łoś, Rozwadowski i Paulisz; członkami są dotychczas: pp. T. Benni, T. Browicz, Ign. Chrzanowski, St. Ciechanowski, J. Czubek, A. Danysz, J. Kallenbach, J. Kasprowicz, A. Kleczkowski, E. Klich, K. Morawski, K. Nitsch, A. Passendorfer, J. Rostafiński, M. Rudnicki, Ign. Stein, St. Szober, K. Tetmajer, J. Tretiak, St. Zathey, R. Zawiliński, J. Zborowski i St. Żeromski. Organem Komisyi jest miesięcznik p. t.: *Język polski,* który się zaczął ukazywać (pod redakcyą R. Zawilińskiego) jeszcze w r. 1913, ale który później, podczas wojny, wychodzić przestał. Obecnie, kiedy się zaczyna nowa epoka w historyi kultury polskiej, wznowienie czasopisma, mającego na celu pośrednictwo w sprawach języka ojczystego pomiędzy ogółem społeczeństwa a zawodowymi uczonymi, zarówno jak znakomitymi stylistami, jest dziełem wielkiej wagi. *Język polski* wziął sobie za zadanie „czuwać nad życiem i potrzebami polszczyzny, zaznajamiać ogół z wynikami pracy naukowej w stosownym zakresie i mierze, szerzyć zrozumienie dla zjawisk językowych“ i wogóle zespalać „jak najszersze koła czytelników i współpracowników dla dobra naszej mowy“. Ukazał się dotychczas zeszyt pierwszy (za styczeń i luty), na który się składają następujące rozprawki i artykuły: „O zjawiskach i rozwoju języka (Mowa a myśl)“ J. Rozwadowskiego; „Podział na części mowy (z powodu *Gramatyki języka polskiego* St. Szobera)“ J. Łosia; odezwa „Do dziennikarzy polskich“ w sprawie czystości języka; „Z dyletantyzmu językowego“ K. Nitscha; „W sprawie słownika wojennej gwary żołnierzy polskich“ St. Wędkiewicza; „Gramatyki równoległe“ A. Kleczkowskiego. Są także

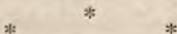
podobnie jak w dawniejszym *Języku polskim* drobne notatki: o przymiotniku mocarny, o rzeczownikach lotnik i latacz, o czasowniku zaistnieć. Jedną notatkę p. t.: *Etykiety* (J. Łosia) warto tutaj przytoczyć w całości:

„Ludzie nieraz są jak flaszki z napisami: noszą na sobie etykiety; a więc socyalista musi być *towarzyszem*, republikanin — *obywatelem*, sokół — *druhem*. Gdy się zwracamy z podaniami do urzędów lub innych instytucyj publicznych, dobieramy odpowiednich przymiotników: *Wysoki, Świetny, Dostojny, Szanowny*... Wysyłając zwykły list prywatny, przed nazwiskiem adresata piszemy: *Wielmożny* lub *Jaśnie Wielmożny*, w razach wyjątkowych innych jeszcze używamy przymiotników. List musi się rozpoczynać od uświęconego tradycyą zwrotu, który nie jest jednak powszechny w całej Polsce: w Królestwie piszą *Szanowny Panie*, w Galicyi zaś *Wielmożny* lub *Łaskawy Panie*, bo *Szanowny* uważa się za coś podrzędnego“. (To znaczy, dodajmy od siebie, w Galicyi za coś podrzędnego uważają ludzie, żeby ich szanowano, czy też może z góry nie wierzą, żeby ich można było i żeby ich było za co szanować?) „Czyby w demokratycznej Polsce nie zerwać raz już z tą śmieszną chińszczyzną? Pouczającem to jest chyba, że ministra np. w Monaco tytułuje się *Ekscelencyą*, a do prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej mówi się: *Panie Prezydencie*. Nietylko w republikańskiej Francyi adresuje się listy: *Monsieur, Madame* bez żadnych dodatków, ale w arystokratycznej Szwecyi do *Herr* nie dodaje się niczego. Wartoby i u nas się zgodzić na to, aby jeden wspólny był dla wszystkich jedyny tytuł: *pan, pani*, i to zarówno w stosunku z osobami prywatnemi, jako też i z dostojnikami państwowymi, a przy zwracaniu się do urzędów i instytucyj ograniczyć się do ich nazwy, również bez używania epitetów ozdobnych“.

Warto naprawdę, żeby wszystkie pisma polskie przedrukowały tę notatkę; warto nadewszystko, żeby się wszyscy do tej rady zastosowali. Dobrze mówi przysłowie staropolskie: „Jaśnie trzaśnie, a mospanie zostanie“. Trzasły już na szczęście austryackie ekscelencye, trzasły różne c. k. hofraty i „inne psubraty“ (według rymu Mickiewicza), niechże teraz w Polsce niepodległej, w Polsce, miejmy nadzieję, szczerze demokratycznej trzasną — przynajmniej na kopertach od listów — wszyscy „wielmożni“ i „jaśnie wielmożni“, jako bezsensowny przeżytek, jako chińszczyzna! Adre-

sujący raz przecie przestaną zachodzić w głowę, komu pisać „Wielmożny“, komu „Jaśnie Wielmożny“, komu „Ekscelencya“; adresaci zaś także na tem nic nie stracą i, jeżeli mają dosyć inteligencyi, nie poczytają sobie tego za ujmę, nie obrażą się na adresujących tak, jak się na kogoś obraziła pewna pani konduktorowa w Krakowie, że jej w liście napisał nie *Łaskawa Pani*, tylko *Szanowna Pani*, a na kopercie zapomniał dodać: *Konduktorowa szerokotorowa.*

I jeszcze jedno. Owa notatka prof. Łosia, zwalczająca chińszczyznę, ukazała się w czasopiśmie wydawanem przez Akademię Umiejętności. Taż sama Akademia Umiejętności tytułuje swoich członków stale „Jaśnie Wielmożnymi“: czyżby ich inteligencya miała być równie szerokotorowa, jak owej pani konduktorowej?



Oprócz *Języka Polskiego* mamy do zanotowania inny nowy miesięcznik warszawski, którego zeszyt pierwszy (kwietniowy) niedawno się ukazał: *Pochodnia, miesięcznik poświęcony zagadnieniom filozoficznym, religijnym i społecznym, oraz literaturze i sztuce.* Redaktorem i wydawcą jest gorliwy wyznawca i szerzyciel idei towianizmu i mesyanizmu polskiego, Wacław Mutermilch, który pod pseudonimem W. Bojomira ogłosił podczas wojny szereg broszur *(Na przełomie dwóch epok, Mesyanizm polski a Kościół katolicki, Logos I—V, Idee towianizmu w związku z chwilą bieżącą)*. Da się tym broszurom dużo zarzucić, ale ich myśl przewodnia jest i prawdziwa i zbawcza: oto, że cała wogóle kultura ludzka musi być przesiąknięta duchem religijno-moralnym, że, jak się wyraził w *Niedokończonym poemacie* Krasiński, „wszędzie — i w izbie poselskiej i na trybunale i w kole wyborców i w kole wybranych i na stolicy władczej i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na giełdzie i w sztuce każdej i w każdej umiejętności Pan dojrzan, poznan, uczczon i wykonan być musi — być musi i będzie!“ Myśl ta, nie obca już filozofii Platona, a uzasadniona poraz pierwszy przez ś. Augustyna, przyświecała teoretycznie kulturze średniowiecznej; potem na długo poszła w zapomnienie, do życia powołała ją na nowo dopiero filozofia Kanta oraz romantyzm, przedewszystkiem romantyzm polski: i ona to właśnie, idea najwyższości kultury moralnej, jako siły subordynującej, nie skoor-

dynowanej, stanowi najistotniejszą treść i nieprzemijającą wartość polskiego mesyanizmu i towianizmu, czego ludzie po większej części nie rozumieją, ci zwłaszcza, którzy, nie umiejąc rozróżniać jądra od skorupy, na mesyanizm i towianizm patrzą, jako na coś chorobliwego i nierozsądnego. Mówiąc nawiasem, myśl ta, którą pogwałciła i splugawiła polityka, zwłaszcza polityka niemiecka XIX w., ukazała się na nowo... w Niemczech w pięknej książce Foerstera, p. t. *Weltgericht und Weltgewissen,* napisanej w ostatnim roku wojny (którejby nie było, gdyby postulat wszechobecności ideału moralnego w kulturze nie poszedł w poniewierkę). Otóż niemałą jest zasługą W. Bojomira, że, ukochawszy tę myśl, która jest niewątpliwie kwiatem myśli polskiej XIX w., zaprzągł się jej wiernie w służbę. I nie dlaczego innego, tylko żeby tę służbę pełnić, zaczął wydawać *Pochodnię:* w „Słowie wstępnem" i w urywkach „Listu otwartego do Wilsona" zaznaczył to swoje stanowisko bardzo wyraźnie: „*Pochodnia* ma służyć idei polskiej; że zaś idea ta jest zarazem ideą człowieczeństwa pełnego, więc i idei wszechludzkiej; a jest ona i ideą chrześcijańską, więc i idei chrześcijaństwa prawdziwego. *Człowiek, Naród, Chrystus, jako Droga do Absolutu* — oto zrąb zagadnień, wokoło którego snuć się będzie myśl nasza".

O ile program społeczno-etyczny *Pochodni,* czerpiący swoje soki żywotne z niewysychającego źródła ideałów moralnych Mickiewicza i Towiańskiego, Cieszkowskiego i Krasińskiego, został sformułowany przez W. Bojomira wyraźnie i jasno, o tyle program estetyczny, mający, jeśli się nie mylimy, swoje źródło w estetyce Norwida, a sformułowany przez p. Stefana Łubieńskiego, bynajmniej jasnością nie grzeszy; co autor mówi o „wszechsztuce", jako „jedynej formie artyzmu", o zbliżeniu się „w kontemplacyi wewnętrznej do *harmonii sfer*" i t. d. — to nic więcej, tylko frazesy, zawierające w sobie mało konkretnej treści. Natomiast urywek z misteryum p. Łubieńskiego p. t.: *Na gruzach ziemi,* wpleciony w ów artykuł programowy, jest utworem pięknym, pozwalającym dobrze rokować o całości. *Gwiazdy mówią* J. K. Iłłakowicz(ówny) należą do tych nie tak wielu utworów utalentowanej poetki, w których myśl i uczucie nie toną w morzu gadatliwości i nie rozpływają się w nieuchwytnych mgłach. Lecz najpiękniejszą ozdobą działu artystycznego w pierwszym zeszycie *Pochodni* są *Pieśni Boleściwe* pani Marty Suzin-Czernigiewicz(ówny, czy też... owej), głęboko odczuta,

z własnych przeżyć płynąca psalmodya religijna, jeden z bardzo niewielu zasługujących na to miano utworów naszej liryki religijnej, która jest — twierdzimy to śmiało — niezmiernie uboga (pomimo przeciwnych pozorów) w porównaniu z religijną liryką innych narodów. Na dział tłomaczeń składają się: akt pierwszy pełnego wdzięku dramatu Rabindranath-Tagory p. t. *Poczta* w pięknym przekładzie (z angielskiego) p. Laury Konopnickiej-Pytlińskiej, oraz część pierwsza rozprawy Hoene-Wrońskiego p. t. *Drugie zagadnienie decydujące o Napoleonie* w przyciężkim przekładzie Józefa Jankowskiego. Przedmiot tej rozprawy (stosunek „prawa bożego" do „prawa ludu") jest związany jak najściślej z myślą przewodnią i tendencyą *Pochodni.* I wogóle, jako wielką zaletę jej pierwszego zeszytu, stwierdzić trzeba, że dobór artykułów jest dziełem nie przypadku, tylko świadomego swoich celów rozmysłu. Zamyka zeszyt *Kronika społeczna i polityczna* Bojomira, pisana w duchu szczerze i rzetelnie narodowym.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na krótkie wezwanie redakcyi do czytelników: „W czasach obecnych, które nazwaćby można okresem poszukiwania Boga, wiele osób przeżywa nader głębokie przeobrażenia duchowe; nie u wszystkich przeistoczenie to zostaje doprowadzone do końca; wiele osób zatrzymuje się wpół drogi lub nawet, zniechęciwszy się do pracy duchowej, cofa się do stopnia jeszcze niższego, niż ten, na którym już znajdywały się, nieliczna garsteczka tylko, która wytrwała do końca, osiąga odrodzenie całkowite; do tej garsteczki zwracamy się z prośbą o łaskawe nadesłanie do Redakcyi krótszego lub dłuższego, podpisanego lub tylko podcyfrowanego, opisu swych przeżyć i doświadczeń religijnych, jako materyału dla dzieła o odrodzeniu". To wezwanie redakcyi *Pochodni* zasługuje ze wszech miar na posłuch: warto przecie przysparzać materyału do historyi przeżyć religijnych duszy polskiej — w epoce, która z jednej strony tak wymownie, jak żadna inna, stwierdziła prawdę chrześcijańską, że ofiara i cierpienie są nieodzowną i najpotężniejszą dźwignią postępu, a z drugiej strony — przez pogrom trzech mocarstw, które były wcieleniem wszystkiego, co jest najpodlejszego na świecie, co jest najgorszą negacyą ideałów chrześciańskich — bądź wzbudziła, bądź pogłębiła w sercach wiarę, że mimo wszystko sprawiedliwość jest nie wymysłem, nie utopią, tylko realną, rządzącą światem myślą Bożą.

*

Jeden z redaktorów krakowskiego „Czasu“ p. A. Beaupré nadsyła obecnie swemu pismu korespondencye z Paryża. Jak wszystko w tym organie, ton ich zwykle dość minorowy, a treść opiera się na słabej oryentacyi w sprawie polskiej i polityce europejskiej. Nie wartoby się niemi zajmować, gdyby nie ich stała tendencya, jak wogóle całej dawnej prasy enkaenicko-aktywistycznej, do już nietylko obniżania zasług Komitetu Paryskiego, lecz do zrzucania nań odpowiedzialności za jakiekolwiek domniemane niepowodzenia polityki polskiej na kongresie wersalskim. Obecnie wątpliwości w sprawie Gdańska, podniesione przez Lloyd George'a, przypisuje korespondent i redaktor „Czasu“ zaniedbaniu przez Komitet Paryski w akcyi politycznej świata anglosaskiego, sprzęgnięciu się zbyt bezwzględnemu z Francyą.

Nicby nie było dziwnego, gdyby redaktor enkaenickiego organu, wsłuchany przez cały czas wojny tylko w każdy oddźwięk łaskawości niemieckiej i wyszukujący go wszędzie z trudnością, nie był poinformowany o polityce polskiej w państwach koalicyi. Ale w takim razie należałoby mieć trochę smaku i taktu, a więc milczeć. Lecz co zabawniejsze, wszak właśnie z łamów swego własnego organu z czasu wojny, mógłby się p. redaktor dowiedzieć, ile to pracy włożyli pp. Dmowski i Paderewski w propagandę sprawy polskiej w Anglii i Ameryce.

Wszak to w owych sławnych artykułach wstępnych „Czasu“, drukowanych na interliniach, nie opuszczono żadnej sposobności, by wykazać, jakimi zdrajcami sprawy polskiej są pp. Dmowski i Paderewski z powodu agitacyi politycznej w Anglii i Ameryce. Szkalowano Dmowskiego w roku 1916 za jego pracę w Londynie, za objazd Anglii z seryą odczytów o Polsce i o przyczynach wojny, która po raz pierwszy skłoniła Anglików do zaznajomienia się ze sprawą polską, a Dmowskiemu przyniosła honorowy doktorat praw w Cambridge University (kto zna Anglię, ten wie, jak szerokie wpływy i stosunki dane są w ręce każdego Cambridge-man'a tylko dlatego, że nim jest). Nie przestano go szkalować i za jazdę w r. 1917/18 do Ameryki, za rozmowy poufne z Wilsonem, po których nb. ten ostatni miał się wyrazić, że uważa Dmowskiego za jednego z najwybitniejszych mężów stanu świata. Wszak w tych artykułach wstępnych nie wahano się wyśmiewać jego sprawozdania o zabiegach w Anglii i o trudnościach pracy tamże, wątpliwościach, które mu się nasuwały już wówczas co do stanowiska Lloyd

George'a w sprawie polskiej; nie wahano się tryumfować z ostrzeżeń, które wówczas przyjaciołom swym w kraju przesyłał, naigrawać z owego sprawozdania, które się przypadkiem w skażonej formie w ręce „Czasu“ dostało. Jakżeż się naśmiewano z Paderewskiego za jego objazdy z koncertami i mowami agitacyjnemi na rzecz Polski po całej Ameryce! Czyż nie rzucano gromów na Komitet, że stoi na żołdzie angielskim? Ileż papieru zapisano, by to udowodnić, zarówno jak i ścisły związek moralny, polityczny i materyalny twórców uchwały z 28 maja 1916 r. z owym Komitetem, denuncyując ich przed rządem austryackim?

Nie trzeba przypominać ustawicznie swą efronteryą tych tak przykrych i bolesnych spraw, które i tak jakże trudno przychodzi każdemu Polakowi wymazać ze swej pamięci!

*

* *

Gdy po rezygnacyi p. Englicha zawakowało ministerstwo skarbu, zaczęto w pewnych sferach wysuwać na to stanowisko kandydaturę p. Bilińskiego, a gdy mimo to został ministrem p. Karpiński, zaczęto się zżymać nad brakiem odwagi cywilnej sfer rządzących, które tylko dla „niepopularności“ w społeczeństwie p. Bilińskiego nie chciały oddać w jego wypróbowane, jedynie do tej pracy uzdolnione, w obecnej chwili dla Polski opatrznościowe, ręce — teki skarbu.

Risum teneatis amici! Po pierwsze, trudno uwierzyć, by człowiek zupełnie Polski nie znający, w życiu swem nawet z Galicyą mało się stykający, mógł się w polskich stosunkach prędko zoryentować. Po drugie, można być dobrym finansistą, lecz w latach sędziwych zwykle nie ma się zdolności ani możności opanowywać całkiem nowe sprawy, jaką jest bezsprzecznie tworzenie waluty. A co najważniejsze, po-trzecie, są rzeczy, których nie można i nie wolno przebaczać. Taką jest zaprzaństwo. P. Biliński tak dobitnie manifestował swoje gorące przywiązanie do dynastyi i monarchii austryackiej, tak wyraźnie zaznaczał na każdym kroku, że jest przedewszystkiem Austryakiem, a następnie także i Polakiem, tylokrotnie wyraźnie i świadomie już w ciągu wojny podporządkowywał sprawę polską austryackiej i o tyle wysuwał tylko polską, o ile nie sprzeciwiała się interesom austryackim, iż nie może mieć pretensyi do społeczeństwa za przekonanie tegoż, że i przy

likwidowaniu stosunku Polski do Austryi, przy wzajemnym obrachunku, jako minister skarbu, i tym razem poświęciłby interesy skarbu polskiego interesom swych dawnych, a sądzić trzeba, że i obecnych austryackich przyjaciół. Choćby się p. Biliński zmienił w głębi duszy doszczętnie, czyż znajdzie się kto tak naiwny na całym świecie, ktoby w taką nagłą metamorfozę osiemdziesięcioletniego człowieka w kierunku, wręcz sprzecznym z całem jego życiem, uwierzył? A nadto, czyż każde resortowe ministerstwo nie jest równocześnie stanowiskiem wybitnie politycznem przez udział w gabinecie?

Musimy sobie dużo zapomnieć, lecz są rzeczy, których nie można i nie wolno zapomnieć, które muszą być ukarane, przed któremi się dusza wzdryga!

Bar.

Sprawozdania

Tadeusz Sinko: *Genealogia kilku typów i figur A. Fredry.* Kraków, 1918 r. (Akademia Umiejętności), str. 96.

Jest to studyum niepospolitej wartości. Główną jego treść stanowi wykazanie genealogii literackiej różnych typów i figur fredrowskich (i to nie kilku, jak opiewa tytuł, ale całego szeregu). Autor rozpatruje mianowicie cztery grupy postaci: 1) samochwał i darmozjad w jednej osobie (Papkin, Lisiewicz, Szwarc); 2) pobłażliwy i zrzędny wujaszek (Radost); 3) ofiara książek (Edward, Nowy Don Kiszot, Celina, Aniela, Klara, Helena Jowialska, Antonia, Laura, odludek Astolf); 4) poeta (Edwin, Ludmir). Otóż okazuje się, że wszystkie te typy znała dobrze literatura przed Fredrą (po części już starożytna). I właśnie wykazanie tego pokrewieństwa stanowi największą zasługę tego studyum. Dodajmy tutaj, że pierwszą „ofiarą książek“ w literaturze polskiej jest Doświadczyński, który „takiego nabrał gustu w słuchaniu“ romansów, „gdy je pan Damon czytał, iż, chcąc czasem dojść końca zawiłej intrygi, trawił bezsenne nocy dla wielkiego Alkandra lub wiernej Mandany“, a „duchem bohaterstwa napełniony, nie mając jeszcze żadnej Dorynny lub Kleomiry, wzdychał przecie“.

Lecz studyum prof. Sinki daje więcej, niż obiecuje tytuł. Autor porusza mianowicie kilka ogólniejszych zagadnień, dotyczących umysłowości i twórczości Fredry, przyczem prostuje niektóre bądź wręcz błędne, bądź sporne poglądy, wypowiedziane przez niżej podpisanego w książce *O komedyach Aleksandra Fredry.* Do błędnych należy np. sprawa sądów Fredry o Mickiewiczu (okazuje się, że, pisząc do brata o *Ranku* „kapłana romantycznego“, Fredro miał na myśli wcale nie sonet Mickiewicza, tylko elukubracyę wierszowaną Witwickiego). Do kwestyj spornych należy zagadnienie, czy Fredro był klasykiem, czy romantykiem. Prof. Sinko mniema i usiłuje udowodnić, że teza o klasycyzmie Fredry nie tylko jest błędna, ale nawet da się sprowadzić *ad absurdum.* Na to zgodzić się trudno; *ad absurdum* da się już raczej sprowadzić teza o romantyzmie Fredry. Zdaniem autora, „romantyzm“ Fredry dlatego nie uwydatnił się w jego poezyi z siłą i w całej pełni, że „komedya jest gatunkiem literackim, który ogranicza rozwinięcie władz specyalnie poetycznych, fantazyi i uczucia“, że tylko „wyjątkowo romantyk może obierać do swych komedyj przedmioty, które mu pozwalają ukazywać jego poetyczne na świat spojrzenie“; tak jest u Musseta, mówi autor, tak jest i u Fredry; dowodzić tego mają, pomiędzy innemi, postaci Gu-

stawa i Ludmira, które mają być tylko maskami samego Fredry. Otóż tego właśnie autor nie dowiódł, nie przytoczył żadnego dowodu, któregoby się z łatwością obalić nie dało. A zresztą miarą romantycznego subjektywizmu w dramacie jest wcale nie zbieżność, a nawet nie tożsamość uczuć i myśli danej postaci z uczuciami i myślami autora, tylko wyraźna przewaga podmiotowości autora nad podmiotowością stworzonej przezeń postaci: u Musseta taka przewaga jest wyraźna, ale u Fredry na palcach policzyćby można jej objawy (np. w monologu Leona Birbanckiego), a w postaciach Gustawa i Ludmira o tej przewadze nawet mowy niema.

Nie dosyć na tem. Sam prof. Sinko wyznaje otwarcie, że „rozsądek, dowcip i humor“ przeważały w organizacyi umysłowej Fredry, co więcej, że „u Fredry zanadto zdrowy rozsądek górował nad fantazyą, a zdrowe uczucie nad chorobliwem, by mógł smakować w egzaltowanej poezyi *Dziadów*“. Pytamy: czy poeta o takiej organizacyi umysłowej jest romantykiem? Czy wolno nazwać romantykiem poetę, który nie smakuje w poezyi *Dziadów?* Jeżeli się nie mylimy, odsądzanie Fredry od miana klasyka i zaliczanie niektórych jego poezyj do poezyi romantycznej ma swoje źródło w jednostronnem, nadto literackiem, pojmowaniu klasycyzmu i romantyzmu; o tem, czy poeta jest klasykiem, czy romantykiem, rozstrzyga wcale nie jego p o e t y k a, tylko jego p o e z y a, i to nie forma poezyi, tylko jej dusza. Fredro uprawiał i powieści poetyckie i ballady i nawet, zgódźmy się na to, „komedye romantyczne“: pomimo to był klasykiem, podobnie jak taki np. Wężyk, pomimo że popełniał nie tylko powieści poetyckie, ale nawet tragedye *à la* Szekspir, był przez całe życie... pseudoklasykiem.

Z kolei nasuwa się inna uwaga. Czy autor w swoich badaniach nad źródłami komedyj Fredry nie przecenia czasem (wzorem uczonych niemieckich) źródeł literackich? Czy w komedyi *Odludki i poeta* „westchnienie do idealnych wieków średnich“ jest rzeczywiście echem lektury Brodzińskiego, a „teorya miłosna Edwina“ echem lektury Schillera? Czy pesymizm Astolfa jest naprawdę owocem poezyi romantycznej? Wszystko to jest możliwe, ale dowodu na to niema; przecie idealizacya wieków średnich i teorya idealnej miłości były wówczas cząstką — ż y c i a, co zaś do pesymizmu, ten jest owocem n a t u r y człowieka, nie jego l e k t u r y. Nie twierdząc stanowczo, żeby *Der arme Poet* Kotzebuego wywarł „bezpośredni wpływ“ na *Odludków i poetę*, autor twierdzi, „że Edwin, jako typ poety, bardzo jest podobny do Lorenza Kindleina w swej dobroci serca i w swym optymizmie“. Może, chociaż przychodzi jakoś na pamięć przysłowie ludowe: „Podobny, jak zając do biskupa“...

Lecz obydwie te sprawy — zarówno przynależność Fredry do klasycyzmu, czy do romantyzmu, jak jego zależność od wzorów obcych — należą do tych wielu zagadnień historyczno-literackich, które ostatecznie są w bardzo znacznej mierze kwestyą osobistych poglądów; albowiem daleko jeszcze do tego, żeby historya literatury i krytyka literacka były we wszystkich swoich zagadnieniach naukami ścisłemi; kto wie, może zagadnienia nieścisłe mają tam nawet do dziś dnia jeszcze przewagę nad zagadnieniami ścisłemi. Bez względu zato na osobiste poglądy, każdy miłośnik historyi literatury przyzna z tą wielką radością, jaką daje badaczowi każde nowe, a świetne badanie z dziedziny jego specyalności, że studyum prof. Sinki o Fredrze znakomicie wzbogaca naszą naukę. Należy ono do bardzo jeszcze u nas nielicznego szeregu badań w dziedzinie l i t e r a-

tury porównawczej, do których nikt z naszych badaczów nie jest ani tak uzdolniony, ani tak uprawniony, jak autor *Antyku Wyspiańskiego,* nikt bowiem inny nie posiada ani tak rozległego, wręcz fenomenalnego, oczytania w literaturze powszechnej wszystkich epok (nie wyłączając najnowszej, jak tego dowodzą choćby tylko recenzye poezyj Stwory i Tuwima w *Maskach),* ani tak zdumiewającej, tak nadzwyczajnej pamięci, nie mówiąc już o wyjątkowej (u nas zwłaszcza) pracowitości i o metodzie filologicznej. Studya o Fredrze i o Wyspiańskim są nie mniej świetnym dowodem w tym względzie, jak prace o *Hellenizmie Słowackiego,* o *Rzymie pogańskim w Irydionie,* o *Widzeniu księdza Piotra,* o *Wzorach Trenów Kochanowskiego,* o *Polskim Antylukrecyuszu,* i inne. Podziwiając erudycyę prof. Sinki, a z drugiej strony zdając sobie jasno sprawę, ile to ważnych kwestyj w dziedzinie historyi naszej literatury czeka na rozwiązanie, ile całych rozdziałów na napisanie, historyk literatury polskiej z ufnością wyczekuje od tego uczonego coraz nowych badań, osnutych na szerokiem tle literatury porównawczej. I tutaj nasuwa się jedno życzenie.

W dziedzinie literatury polskiej XIX wieku do najmniej opracowanych naukowo zagadnień należy historya powieści w epoce największego jej rozkwitu, t. j. w drugiej połowie stulecia. Mamy wprawdzie *Naszych powieściopisarzy* oraz obszerną monografię o Kraszewskim Chmielowskiego, te jednak studya, choć niezmiernie cenne, nie odpowiadają już dzisiejszym wymaganiom naukowym, kryterya społeczne bowiem mają tam, jak zawsze u Chmielowskiego, przewagę nad literackiemi. Otóż z dzisiejszych historyków literatury polskiej kto inny mógłby lepiej napisać krytyczną historyę powieści polskiej, jeżeli nie prof. Sinko? Jego erudycya, metoda, pracowitość, pamięć pokonałyby łatwo wszystkie trudności, z tym przedmiotem związane. Przez opracowanie historyi powieści polskiej XIX wieku, a choćby tylko przez monografię o Kraszewskim, położyłby prof. Sinko jeszcze większe zasługi w nauce i zaskarbiłby sobie jeszcze żywszą wdzięczność historyków literatury ojczystej.

Ign. Chrzanowski.

* * *

Ludwik Włodek: *Bolesław Prus. Zarys społeczno-literacki,* Warszawa, 1918 (Gebethner i Wolff), str. 351.

Przyszły historyk życia duchowego w Polsce porozbiorowej będzie musiał zwrócić uwagę na ten fakt niewątpliwy, że niejednolitość sądów o najwybitniejszych nawet pisarzach jest większa u nas, aniżeli gdziekolwiek indziej; źródłem jej bowiem jest nie tylko różnorodność poglądów na życie i upodobań estetycznych jednostek, ale także rozszarpanie Polski na trzy zabory, które sprawiło, że, chociaż lubiliśmy i lubimy się chwalić, że pomimo wszystko jesteśmy społeczeństwem jednolitem, to jednak różnimy się pod względem kultury nie tylko materyalnej, politycznej, społecznej, ale także i duchowej. W Warszawie i wogóle w całym zaborze rosyjskim do najpopularniejszych i najbardziej wpływowych pisarzów należał Świętochowski; w zaborach pruskim i austryackim nie był on i nie jest do dziś dnia prawie zupełnie znany, pomimo że należy on przecie nie do „wielkości lokalnych", ale do najznakomitszych pisarzów polskich. Prus znany był, oczywiście, we wszystkich trzech zaborach, ale na jego istotnej wartości

poznał się o g ó ł jedynie w zaborze rosyjskim. Tłomaczy się to w bardzo znacznej mierze tem, że Prus uchodził (i bardzo słusznie) za pozytywistę, co więcej (z równą słusznością) za wolnomyśliciela: czy się wobec tego mógł cieszyć rozgłosem w poznańskiem (pomimo *Placówki*) i w Galicyi (przynajmniej zachodniej)? Przyznawano mu tam wprawdzie i talent i rozum i dobrą wolę, ale nie zdawano sobie sprawy z tego, że jest to jedna z w i e l k o ś c i literatury polskiej. A cóż mu tę wielkość nadaje? Przedewszystkiem to, bez czego nie można być wielkim w l i t e r a t u r z e, ogromny talent twórczy, zwłaszcza, pierwiastki u c z u c i o w e (chociaż i plastycznymi mógłby z królewską hojnością obdzielić całe rzesze powieściopisarzy). Powtóre — i pod tym względem, jeśli się nie mylimy, Prus nie ma sobie równego w całej literaturze polskiej XIX wieku — był to wielki nauczyciel swojego narodu, wielki dlatego, że miał nie tylko ogromny rozum, ale i wielkie serce.

Otóż tę właśnie stronę działalności Prusa, nauczycielską, wyświetlił bardzo szczegółowo jeden z jego najgorętszych wielbicieli, znany publicysta, p. Ludwik Włodek, w osobnej książce, która jest pierwszą m o n o g r a f i ą o autorze *Placówki* i *Lalki*, jako o publicyście (doskonałe bowiem studyum Konstantego Wojciechowskiego zajmuje się jedynie stroną artystyczną pism Prusa, i to prawie wyłącznie — powieści, nie mówiąc już o tem, że, jako ogłoszone w *Bibliotece Macierzy Polskiej*, ma charakter nadewszystko popularny).

„Nie będąc zawodowym krytykiem — pisze p. Włodek w przedmowie — nie chciałem przystępować do pracy, którą inni mogą wykonać lepiej ode mnie; ten sam brak kompetencyi skłonił mnie do oparcia się przeważnie na pracach publicystycznych Prusa, które mam prawo oceniać, będąc sam publicystą“. W tych słowach zakreśla autor granice swej monografii i wyjaśnia jej charakter. W istocie dał jednak dużo więcej. Albowiem po pierwsze napisał, on pierwszy, szczegółową biografię Prusa, opartą na źródłach z pierwszej ręki i umiejętnie osnutą na tle stosunków społecznych i politycznych środowiska. A po drugie uwzględnił, i to bardzo szczegółowo, także i powieści, rozpatrując je wszakże ze strony nie artystycznej, tylko ideowej. Rezultat jest ten, że czytelnik ma przed sobą całkowity, dokładny obraz Prusa-publicysty, Prusa-nauczyciela. Jego *credo*, jako artysty i publicysty, jego poglądy na zagadnienia wychowawcze, na rolę społeczną kobiety, na nasze stosunki społeczne, na sprawę żydowską, na patryotyzm, na politykę, jego filozofię religii i ideałów życiowych: wszystko to wyłożył i wyjaśnił p. Włodek bardzo systematycznie i bardzo przejrzyście. Naprawdę, że dopiero teraz uświadamiamy sobie ten ogrom pracy (zarówno rozumu, jak serca), jaki włożył Prus w swoją działalność publicystyczną, czy to jako autor kronik i felietonów, czy też powieści. Teraz dopiero poznajemy całą w i e l k o ś ć Prusa, jako nauczyciela narodu. I za to należy się p. Włodkowi serdeczna wdzięczność zarówno od wielbicieli Prusa i historyków literatury, jak i od całego społeczeństwa polskiego. *Ign. Chrzanowski.*

* * *

R o m a n P o l l a k: *Wyprawa skautów śląskich przez Orawę i Tatry na Spisz* ze słowem wstępnem E. Romera str. VIII + 160 (z mapką).

Z zachodnich kresów z Orłowy, idzie drużyna harcerska przez Babią górę,

Orawę, Morskie oko i Polski Grzebień na Spisz. Idzie nie tylko z pospolitą wycieczkową uciechą, ale z radosną ochotą, bo ujrzy południowe kresy, piękne krasą gór „wolności ołtarzy“, pozna kraj i kulturę, pozna braci czy w orawskiej Jabłonce, czy w spiskim Andrzejowie. Wyprawa, pilnie i uroczyście przygotowana, ma program urozmaicony. Wrażenia nieraz przelotne i niedokładne rozjaśnia skautreferent; jego pogadanki wieczorne opowiadają przeszłość geologiczną i historyczną poznawanych okolic, zapoznają z kulturą i ze stosunkami społecznymi i narodowościowymi. Przygodne rozmowy z góralami pozwalają młodym Polakom wejrzeć w duszę ludu z tamtej strony Tatr; przeciąganie lwowskie w wymowie spotkanych przypadkiem harcerzy lwowskich więcej uderza ucho naszych Ślązaków, niż właściwości gwary podhalańskiej. Jednem słowem na wszystko, co warte obserwacyi, mają harcerze uszy i oczy otwarte; wiadomości zdobywane przez nich w czasie wycieczki są starannie zebrane, a podane bardzo zręcznie.

Dzienniczek wyprawy przetykany prawdziwie odczutymi, szczerymi opisami czyto Czarnego Stawu, czy widoku Tatr od Lubowli, czy wreszcie tajemniczej, ostatniej nocy w ruinach Czorsztyna.

Cała książka żyje zapałem i humorem autora-drużynowego i jego młodych przyjaciół. Przeczyta ją z zajęciem starszy chłopiec, przeczyta i nauczyciel-wychowawca, a udany eksperyment takiej ogólno-kształcącej wyprawy podnieci i kolegów-harcerzy i kolegów-nauczycieli do naśladownictwa. Każdy zaś będzie wdzięczny autorowi tak. jak prof. Romer, za miłe chwile przeżyte z jego książką.

F. B.

* * *

Ludwik Bernacki: *Pierwsza książka polska. Studyum bibliograficzne z 86 podobiznami.* Lwów 1918, 8-o maj., str. VIII, 510.

Autor, znany już w literaturze naukowej z kilku studyów historyczno-literackich oraz z wzorowego wydania fragmentów Marchołtowych, tudzież „Listów i Satyr“ Krasickiego, stanął w niniejszej, poważnej treścią, wynikami i rozmiarami, pracy przed zagadnieniem, co wolno nam nazywać pierwszą drukowaną książką polską, t. j. pisaną w języku polskim. Rozwiązaniu tego zagadnienia poświęcił dzieło gruntowne, zatytułowane skromnie studyum bibliograficznem, w którem, na podstawie szerokich porównawczych badań i pracowitych zestawień, dochodzi do szeregu interesujących wyników, ustalających ponad wszelką wątpliwość początki drukowanej literatury polskiej.

Za pierwszą książkę polską uważa autor dzieło, którego urywek (arkusz o małej 8-ce) przechował się w Bibliotece Wrocławskiej jako tzw. Fragment Wrocławski. Zgodnie z innymi określa p. Bernacki ten urywek jako część modlitewnika p. t. Hortulus animae, nader rozpowszechnionego w średnich wiekach i przypisuje jego przekład Biernatowi z Lublina, znanemu już tłómaczowi i przerabiaczowi Ezopa. Twierdzenia te nie wystarczają jednak p. Bernackiemu; poddaje on drobiazgowemu badaniu całą kwestyę „Hortulusa animae“ w literaturze polskiej, wykazuje najmniej pięć ich wydań w czterech opracowaniach, od początków XVI w po rok 1636, szczegółowemi dociekaniami stwierdza ich pochodzenie, źródła i filiacye tekstów, a nawet obfitego materyału ilustracyjnego, jaki się w tych fragmentach zachował, porusza wreszcie i rozwiązuje krytycznie

mnóstwo zagadnień, wiążących się z opracowywanym tak szeroko przedmiotem, jak np. rzecz o Cisiojanusach polskich, o nauce ku zachowaniu zdrowia (Regimen sanitatis) i t. d.

Pracę swoją podzielił autor na dwie główne części: W pierwszej — po obszernych wstępnych uwagach o najgłówniejszych modlitewnikach średniowiecznych łacińskich t. j. 1) *Horae BMVirginis* (Livres d'Heures, Godzinki NMPanny), dalej 2) *Hortulus animae,* wreszcie 3) Mikołaja Saliceto *Antidotarius animae,* przyczem wymienia wcale szczegółowo ich literaturę bibliograficzną i krytyczną, oraz wyszczególnia ich części składowe, — omawia autor naprzód trzy wydania Hortulusa animae łacińskiego, drukowane w Polsce, tj. edycye z 1533 r., z 1585 r. i z r. 1638 r., następnie przechodzi do niezmiernie drobiazgowego opracowania polskich Hortulusów, których wymienia pięć edycyj t. j. I. Fragment Wrocławski z r. 1514, II. Fragment Krakowski Hortulus Wietora z lat około 1530, III. i IV. Hortulusy Ossolińskich i Krasińskich, fragmenty po 1585 r. drukowane, wreszcie V. edycyę Piotrkowczyka, najzupełniejszą, z 1636 r. Pozatem natrafił autor na ślady dwóch jeszcze wydań około 1579 r. i po 1585 r.

Szczegółowym wywodem stwierdza p. Bernacki, że Hortulus I. był drukowany w Krakowie u Floryana Unglera w 1514 r., że autorem jego był Biernat z Lublina, i że źródłem jego nie jest *Hortulus animae,* lecz w pierwszym rzędzie Saliceta Antidotarius, a w drugim nieznany, wedle autora, rękopiśmienny modlitewnik, oparty na łacińskich Godzinkach NMP., stojący w ścisłym związku z tekstami, zachowanymi w tz. Modlitewniku siostry Konstancyi z 1527 r.

Stwierdzeniem tych źródeł i zależności rozpoczyna autor obszerną część drugą dzieła, w której poddaje krytycznemu rozbiorowi osnowę Hortulusów polskich. Wspomniana już powyżej część kalendarzowa i lekarska zostały tu opracowane, drobiazgowemu zaś rozbiorowi podległy modlitwy, hymny i t. p. pieśni Hortulusa. Wykazuje tu autor cały szereg źródeł średniowiecznej poezyi łacińskiej, wpływających bezpośrednio na hymnologię polską, tak że ta część jego pracy stanowi poważnej wartości studyum historyczno-literackie, wykazuje dalej, że wszystkie trzy główne modlitewniki średniowieczne były przeważnem źródłem dla Hortulusa polskiego.

Osobną grupę w tem pięknem dziele stanowi materyał ilustracyjny. W 86 podobiznach cynkotypicznych pomieścił autor przedewszystkiem cały Fragment Wrocławski, dalej podobizny z innych wydań Hortulusów polskich i łacińskich w Polsce wydanych, tudzież liczne drzeworyty z innych współczesnych dzieł, będące materyałem dowodowym dla jego twierdzeń.

Dzieło p. Bernackiego świadczy pochlebnie o erudycyi, o metodzie i bystrości krytycznej autora, jego wyniki stanowią walny postęp w szczegółowem badaniu początków drukowanej literatury polskiej, a w sprawie modlitewników są niewątpliwie podstawowem dziełem. Daleko więcej daje tu autor, niż zapowiada; z punktu widzenia bibliografii jest bez zarzutu, widać i znać doskonałe obznajomienie autora z obfitą literaturą bibliograficzną francuską, angielską i niemiecką tego przedmiotu, umiał autor dotrzeć wszędzie do wydań najlepszych i do najrzadszych egzemplarzy, których dla swej pięknej pracy potrzebował.

Józef Korzeniowski.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Roman Rybarski.**
DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13.